



Bajki





BAJKI

Pokoloruj mnie sam
Pokoloruj mnie sam

Młodzież OHP dzieciom





SPIS TREŚCI

Wstęp	3
Mama i Córka	5
Planeta Kajtusińskich	8
Tajemnica rodziny Dudków	10
Wróżka Zębuszka	14
Chytry dwa razy traci	16
Miasto	20
Planeta Lodziarza	22
Mała Snowbi	24
Zaćmienie	26
Małpie figle	28
Krótką historią o odnalezionym szczęściu	31
Podróż marzeń	35
Bajkowe wróżki	38
Majówka Kasi, Wojtka i Jasia	40
O dziewczynce, która musiała polubić siebie	44
Szczeniaczek Gryzaczek	47
Co to jest wyobraźnia?	49
Niewidzialny Towarzysz	51
Mała Kropelka	54
Krótką historią o miłości	57





WSTĘP

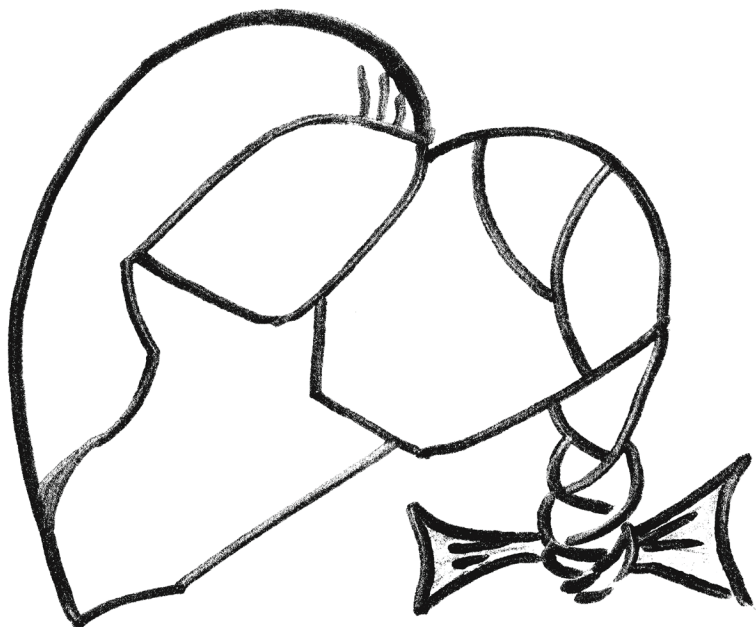
Jesteśmy uczestnikami Klubów Aktywnych Ochotniczych Hufców Pracy z Mazowsza i jako wolontariusze działamy na rzecz różnych osób, które potrzebują wsparcia. Od października do końca grudnia 2013 roku, w odpowiedzi na apel wystosowany przez UNICEF pod hasłem „Razem dla dzieci – Uratuj dziecko w Mali” rozpoczęliśmy zbiórkę pieniędzy na rzecz maluchów w Afryce. Przez trzy miesiące pisaliśmy bajki, a do pracy inspirowali nas donatorzy, wpłacając na rzecz naszej akcji, dobrowolne sumy pieniędzy. Datki te za pośrednictwem UNICEFU trafiły później do potrzebujących wsparcia dzieci. Pomogliśmy dzieciom poza granicami naszego kraju, ale nie zapomnieliśmy też i o tych w Polsce. Stworzone przez nas bajkowe historie zebraliśmy w niniejszej książeczce, która trafi w ręce czytelników z zaprzyjaźnionych z nami Domów Dziecka. Mamy nadzieję, że te opowieści sprawią naszym małym przyjaciółom wiele radości. Życzymy Wam miłego czytania!

Młodzież z mazowieckich OHP





MAMA I CÓRKA



Dawno, dawno temu, a może nie tak dawno, w dalekim kraju, a może nie tak daleko żyła dziewczynka o imieniu Jennifer. Była to bardzo ładna dziewczynka, miała 12 lat piękne, duże brązowe oczy i długie, czarne włosy. Od najmłodszych lat marzyła o karierze malarki, lecz niestety trudna sytuacja rodzinna nie pozwalała jej rozwinąć pasji. Mama Jennifer, Mandy, była równie piękna jak córka. I wydawać by się mogło, że tak piękne osoby z pewnością muszą być szczęśliwe, jednak nic bardziej mylnego. Mandy tylko na pierwszy rzut oka wydawała się szczęśliwa i pełna życia, w gruncie rzeczy jednak zmagająca się z wieloma problemami. Poza Jennifer miała jeszcze czwórkę dzieci, które musiała wychowywać sama. Nieszczęście spadło na rodzinę Mandy trzy lata wcześniej. To wtedy w wypadku samochodowym zginął jej mąż, a tata Jennie. Od tego czasu żyło się wszystkim bardzo ciężko. Jennifer jako najstarsza z czwórki dzieci starała się jak mogła pomagać mamie we wszystkich pracach domowych i w opiece nad młodszym rodzeństwem.





Ciężar obowiązków, jaki spadł na głowę Jennie, sprawił, że musiała w szybkim czasie dorosnąć, a tym samym także zapomnieć o realizacji swoich marzeń. Ale pewnego dnia dla Jennifer zaświeciło słońce.

W szkole ogłoszono konkurs na najpiękniejszy pejzaż okolicy. Dziewczynka długo wahała się czy wziąć w nim udział. Bała się, że nie zdoła pogodzić pracy nad konkursem z pomocą mamie w domu przy młodszym rodzeństwie.

– Może warto zawalczyć o siebie, Jennie – namawiała dziewczynkę jej wychowawczyni, Pani Amanda. – Nagrodą główną w konkursie jest w końcu stypendium w szkole plastycznej. Gdyby udało ci się wygrać, mogłabyś robić to, co kochasz, pójść za swoją pasją – przekonywała.

Jennifer długo biła się z myślami. Bała się powiedzieć mamie o konkursie, o tym, że potrzebuje czasu na stworzenie pejzażu, a więc i prosić o trochę wolnego w opiece nad rodzeństwem. Z rozmyślań i nerwów z nimi związanych nie mogła wieczorem zmrużyć oka. W końcu zebrała się na odwagę i wyznała mamie wszystko, co leżało jej na sercu. Mówiła o swoich marzeniach, pragnieniach, pasjach, ale i o wyrzutach sumienia, jakie czuje, o strachu, że postąpi samolubnie, jeśli postawi na siebie. Gdy Mandy wysłuchiwała córki, zaczęła płakać. Przytuliła mocno Jennifer i powiedziała jej, że jest z niej bardzo dumna, i że powinna spróbować swoich sił w konkursie.

Dziewczynka nie posiadała się z radości. Od razu zaplanowała sobie czas na wiele dni do przodu tak, żeby jak najlepiej połączyć obowiązki w domu z malowaniem pejzażu. Po tygodniu ciężkiej pracy spod jej rąk wyszedł kolorowy obraz, ukazujący piękno okolicy. Malunek wzruszył wszystkich, w szczególności zaś Panią Amandę, która bezzwłocznie zgłosiła go na konkurs. Teraz pozostało czekać na wyniki jury. Gdy przyszedł dzień wręczenia nagród, Jennifer aż cała drżała z ekscytacji. Czy uda jej się zdobyć stypendium? Czy sięgnie po marzenia? Wreszcie zapadł werdykt. Słyszając go ani Jennifer, ani Mandy, nie mogły powstrzymać łez.





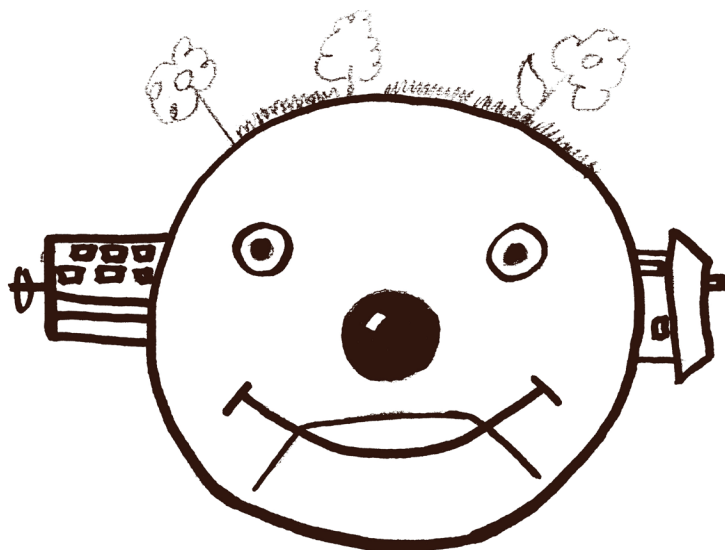
– Wygrałam! Wygrałam! – Jennie cieszyła się jak dziecko, a wraz z nią mama i wychowawczyni. Dla tej ostatniej zresztą zakończenie całej historii nie było wielkim zaskoczeniem, wierzyła w Jennie i w sens podjętych przez nią działań, sens wszystkim chyba dobrze znany, że: „warto mieć marzenia, bo bez nich nic nie mamy”.

Paulina Prokurat 7-2 OSiW





PLANETA KAJTUSIŃSKICH



Dawno temu w odległej krainie, na planecie, której jeszcze nikt nie odnalazł, żył sobie stworek o dobrym sercu. Był niewielki, różowy, bardzo puszysty, miał niezwykle przyjazny pyszczek, piękne, duże, brązowe oczy i wdzięczne imię – Kajtuś. Kajtuś żył, by pocieszać innych. Zawsze, gdy ktoś był smutny, on podchodził i dodawał mu otuchy. Pocieszanie dawało siłę zarówno osobie pocieszanej, jak i samemu stworkowi. Dla Kajtusia było ono wręcz sensem życia. Sprawiało, że codziennie się uśmiechał i nigdy się nie smucił. Jednak pewnego dnia stało się coś bardzo, bardzo złego. Na zamieszkałą przez różowego stworka planetę przybyli ludzie i zaczęli ją wyniszczać. Kwiaty zaczęły więdnąć, przyjemny dotąd zapach powietrza zamienił się w nieznośny odór, a jej mieszkańcy zaczęli chorować, popadać w długotrwały smutek i odczuwać ogromny lęk. Kajtusiowa kraina, dotąd piękna i kolorowa, nagle stała się czarno-biała i brzydka. Odbiło się to także na samym wesołym stworku.





Dobry nastrój Kajtusia prysł, a zamiast codziennego uśmiechu pojawiły się łzy, które nie mogły przestać płynąć z jego oczu. Kiedy pewnego dnia załamany stanem swojej planety stworek siedział na wielkim czarnym głazie i głośno szlochał, ktoś podszedł do niego i dotknął jego drobnego ramienia. Strasznie to Kajtusia wystraszyło. Przerażony krzyknął i gotów był brać nogi za pas. Jednak przybysz zapewnił stworka, że nie zrobi mu krzywdy i że nie ma się czego bać. Okazało się, że przybyszem jest człowiek. – Mam na imię Johann i chcę się zaprzyjaźnić – wyznał Kajtusiowi nieznajomy. Zwykle ufny do wszystkich stworek i tym razem także postanowił zaufać nowemu.

– Jestem Kajtuś – przedstawił się i wyciągnął w stronę Johanna różową łapkę. A potem zaczęli rozmawiać. Kajtuś opowiedział Johannowi, jak było na jego planecie przed przybyciem ludzi i jak cudownie się na niej żyło. Jak się okazało Johann jako jedyny z ludzi po zniszczeniu planety Kajtusia, postanowił nie odlatywać z innymi osobnikami swojego gatunku na poszukiwanie kolejnych, nadających się do zniszczenia planet. – Nie chcę już niszczyć, chcę tworzyć i być szczęśliwym – wyznał, a w Kajtusia jakby wróciło życie. Łzy przestały płynąć i na twarzy różowego stworka znów pojawił się uśmiech.

– Nie martw się – pocieszył swoim dawnym zwyczajem nowego znajomego.

– Razem damy radę!

I tak jak powiedział, tak się stało. Kajtuś i Johann zostali przyjaciółmi i krok po kroku odbudowywali Planetę Kajtusińskich. Wkrótce jej mieszkańcy zaczęli się uśmiechać i żyli długo i szczęśliwie, a Johann wraz z nimi.

Patrycja Golik 7-2 OSiW





TAJEMNICA RODZINY DUDKÓW

Da w n o ,
d a w n o
temu, za
lasami, jeziorami w ma-
gicznej krainie o nazwie
Mysigród, na końcu uli-
cy Złotej mieścił się stary
duży żółty dom, o którym
mówiono, że w nim
straszy. Faktycznie z ze-
wnątrz nie wyglądał zachę-
cająco. Skromne okna,
drzwi w takim stanie,
że nawet jak mały wiatr
zawiał, skrzypiały, niczym
kości nieboszczyka, aż
strach było przejść obok.
Ale pewnego pięknego



dnia, tak pięknego, że najbrzydsze i najstraszniejsze rzeczy traciły na stra-
chu i brzydocie, dwóch chojraków z Mysigrodu mały Dudek wraz z kolegą
Krzysem postanowili sprawdzić, co w starym domu piszczy. Idąc ulicą
Złotą, by dodać sobie odwagi, zagadnęli jeszcze tylko napotkaną po drodze
staruszkę, o żółty dom i jego historię.

– Nikomu nie życzę, aby znalazł się w środku tego domu – powiedziała po-
bladła z trwogi staruszka. – Tam mieszka duch, duch kobiety, który tylko
czeka, by dopaść nową ofiarę. Kto tam wejdzie, zginie jak Pchły – przestrze-
gła drżącym głosem i... zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię.





Na Krzysiu, słynącym w mieście z odwagi, całe zajście nie zrobiło żadnego wrażenia, za to Dudek – całkowite przeciwieństwo kolegi – taki „boi dudek”, aż się spocił ze strachu. Ponieważ jednak był w towarzystwie Krzysia, postanowił się nie poddawać i kontynuować wycieczkę do żółtego domu. Chłopcy doszli do furtki, tak starej, jak najstarszy cmentarz w mieście. Zaskrzypiała, gdy otworzyli ją wchodząc na podwórko. Na początku przywitało ich spróchniałe drzewo. Jedna jego gałąź omotana grubym sznurem, dźwigała dwuosobową huśtawkę. Wokół znajdowało się wiele innych drzew, może nie tak okazałych jak to pierwsze, ale z pewnością bardzo wiekowych, może nawet stu letnich. Zza drzew wyłaniał się dom. Miał ganek, do którego prowadziły podziurawione schody. Dziury w nich były tak duże, że z trudem można było po nich wejść nie łapiąc się w jakąś przepastną pułapkę. Jednak chłopcom udało się jakoś wspiąć po nich do środka. Na wejściu, zaczynającym się mrocznym holem, dostrzegli dwa wielkie portrety na ścianach, zapewne właścicieli nieruchomości.

– Ty, Dudek, ale on podobny do twojego taty – wyszeptał do kolegi Krzys, patrząc na portret Pana domu.

Na początku Dudek wyrwał się, by zaprzeczać, ale gdy się przyjrzał obrazowi, przyznał Krzysowi rację. Osoba na malowidle przypominała jego tatę – Władka.

– Dziwne – powiedział. – Tato, nigdy nie wspominał, żebyśmy mieli jakąś rodzinę w Mysigrodzie. Zaciekawieni Krzys i Dudek weszli dalej.

W pierwszym pomieszczeniu po prawej stronie, rozpoznali kuchnię. Nie było to trudne, bo szafki w niej były tak zadbane, jakby ktoś niedawno tu mieszkał i na bieżąco o nie dbał. Uwagę Krzysia przykuła duża zielona komoda pod oknem. Oczywiście nie byłby sobą, gdyby za raz do niej nie zajrzał, zżerany ciekawością, co też ona tam w sobie skrywa.

– Jak to możliwe? O co w tym wszystkim chodzi? – zastanawiali się, coraz bardziej wgłębiając się w znalezisko.





Zaferowani, nie zauważyli nawet, że nie są sami w domu. Kiedy więc poczuli na plecach czyjąś obecność, było już za późno na refleksje i inne reakcje. Dudek tak się przestraszył, że z płaczem pognął przed siebie i tak gnając dobiegł do swojego domu. Z kolei Krzysiek, choć bardziej odważny, też dał nogi za pas, nie oglądając się za siebie, za to w biegu chwytając jeszcze parę pudeł, pogonił za Dudkiem. Zdyszani chłopcy zatrzymali się dopiero w progu domu Dudka, gdzie ten mieszkał z tatą i starszą siostrą Alą. Zatrzymanie nie należało do łagodnych. Najpierw Dudek zderzył się z futryną, a potem w Dudka uderzył z impetem Krzys. Zawartość pudeł wysypała się na korytarz. Nie uszło to uwadze taty Władka, który akurat tego dnia był w domu.

– Skąd to macie – zapytał zaskoczony, spoglądając na fotografie. Chłopcy przyznali się do wizyty w żółtym domu i tym razem to oni czekali na wyjaśnienia. – No, dobrze – westchnął tata Władek i zaczął opowiadać o historii rodziny Dudków.

– Przyszedłem na świat zimą, tu w Mysigrodzie - zaczął. – Moim ojcem był znany burmistrz, a matką czarodziejka. Mieszkaliśmy w żółtym domu na końcu ulicy Żłotej. Kiedy dorosłem na uczelni w Śnieżnym Mieście poznałem Zosię - piękną, sympatyczną kobietę, w której od razu się zakochałem. Niestety Zosia pochodziła z podobnej rodziny, co moja. Jej ojciec co prawda był postacią, można rzecz zwyczajną, pracował bowiem jako sprzedawca zabawek na pchlim targu, ale mama... mama Zosi była czarownicą. Kiedy poznałem Zosię nie wiedziałem, że między moją a jej rodziną - rodem Pcheł, panuje odwieczny konflikt. Czarownica nie mogła znieść czarodziejki, a czarodziejka czarownicy. My młodzi nie chcieliśmy się kłócić. Przez długi czas trzymaliśmy się więc z dala od naszych rodzin, starając się nie prowokować ich spotkania. Jednak gdy na świat przyszła Ala, a potem ty – Dudek Junior, stwierdziliśmy, że czas położyć kres tym niedorzecznościom i zakończyć spór, w którym nawet nie wiemy, o co chodzi i skąd się wziął.





Pewnego dnia zaprosiliśmy ja swoich, a Zosia swoich rodziców na obiad. Żadne z nich nie wiedziało, że na obiedzie spotka drugie. To był wielki błąd. Kiedy moja mama zobaczyła mamę Zosi, wpadła w szal. Co się działo później nie pamiętam. Wiem tylko, że rodzina Pcheł wraz z moją Zosią, jak stali, tak zniknęli. Byłem zrozpaczony, winiłem za to moją matkę, ale ona była niewzruszona. Dlatego moja noga nigdy więcej nie powstała w żółtym domu przy Żłotej. Wiem, że mój ojciec, a Twój i Ali dziadek, też mocno to wszystko przeżył. Zmarł pięć lat później i nawet nie zdążyliście go poznać.

- A czarodziejka..., to znaczy babcia? – zapytał niepewnie Dudek.
- Mówią, że nadal mieszka w żółtym domu, z którego po śmierci męża nie wychodzi, czując się winną i nie chcąc się narażać na spotkanie z nikim z rodziny.
- To znaczy, że w żółtym domu wcale nie straszy, bo nie jest opuszczony – zauważył rezolutnie Krzyś, a tata Władek przytaknął skinieniem głowy.
- Najlepiej zapomnijcie o tym miejscu i więcej do tego nie wracajmy – powiedział do chłopców, po czym zabrał zdjęcia i zamknął się w swoim pokoju, by oddać się pięknym lecz smutnym wspomnieniom dotyczącym jego dzieciństwa i młodości.

Pierwszy, jak zwykle zresztą, bo przecież był tym odważniejszym w ich dwuosobowym gronie, przerwał milczenie Krzyś.

- Nigdy nie widziałem żadnej czarownicy, ani czarodziejki, a ty?
- Właściwie chętnie dowiedziałbym się jak wygląda moja babcia – odpowiedział Dudek i naraz u obu chłopców pojawił się w oczach ten błysk, zdradzający, że właśnie wpadli na jakiś kolejny szelmowski pomysł.
- To co? Jutro rano idziemy znów do żółtego domu? – zapytał Krzyś.
- Oczywiście – ucieszył się Dudek. – W końcu, najwyższy czas poznać też całą naszą tajemnicę rodziny Dudków.

Aleksandra Kozak 7-2 OSiW





WRÓŻKA ZĘBUSZKA



Pewnego dnia w dalekiej krainie zwanej Zębolandią, żyła sobie piękna pani. Mówiono o niej Wróżka Zębuszka. Mieszkała w dużym, różowym zamku, miała piękny zdrowy uśmiech i bardzo lubiła dzieci. A najbardziej na świecie lubiła te chwile, kiedy maluchy się uśmiechały. Żeby wywołać uśmiech na małych buźkach, od czasu do czasu, niepostrzeżenie podrzucała dzieciom prezenty. I faktycznie wtedy nawet na te najsmutniejsze buzie, niczym słońce wstępowała radość. Niestety jednak, i to najmocniej martwiło Wróżkę, gdy dzieci się uśmiechały, widziała, że wiele z nich ma popsute ząbki.





Co z tym zrobić? – zastanawiała się. – Jak przekonać dzieci, że trzeba dbać o zęby. Myślała długo, myślała i myślała, aż nagle doznała olśnienia.

– Ogłoszę konkurs! – postanowiła. – Taki, który zaczyna się, gdy pojawiają się pierwsze mleczaki i kończy, gdy wszystkie ząbki już na stałe zadomowią się w dziecięcej buzi. Każdemu dziecku, które będzie dbać o zęby, mogę już dziś obiecać, że się wzbogaci, a za każdego schowanego pod poduszkę mleczaka, dostanie ode mnie nagrodę. Jak postanowiła, tak zrobiła. Wieść o konkursie szybko rozniosła się po świecie i od tej pory wiele dzieci zaczęło dbać o swój zdrowy uśmiech, a kiedy traciły mleczaki, kładąc się spać, władały je pod poduszkę.

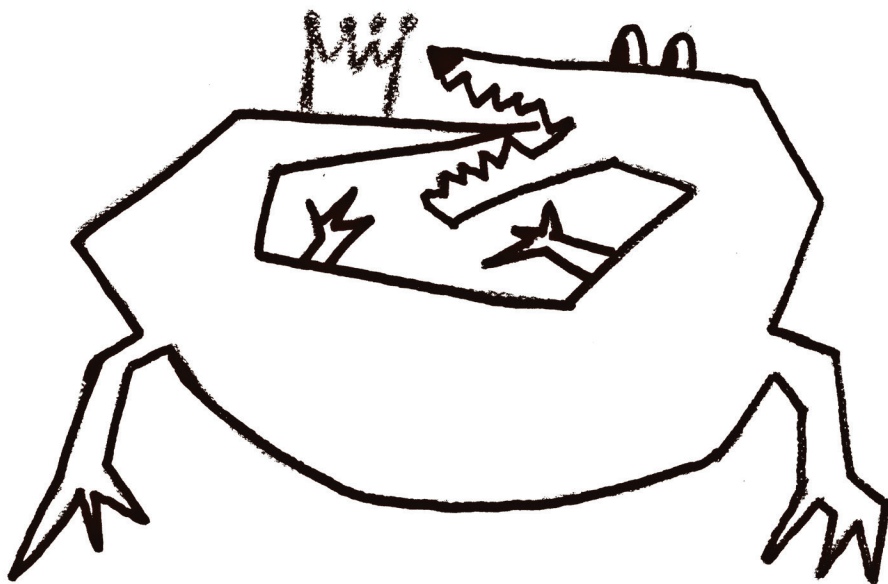
Niestety o konkursie usłyszał także zły charakter – Księżę Próchnica i postanowił pokrzyżować plany Wróżki Zębuszki, bo on z kolei dzieci nie lubił i cieszył się niezmiernie, gdy ich zęby się psuły, bolały i sprawiały, że uśmiech maluchów był szkaradny. Przebiegły Księżę wymyślił sobie, że jeśli będzie podkradać zęby dzieciom spod poduszek, to te budząc się rano nie dostaną nagrody, zawiodą się na Wróżce i wrócą do swoich starych nawyków, przestaną myć ząbki. I faktycznie. Księżę Próchnica nocami pojawiał się w domach dzieci i wykraadał im spod poduszek mleczaki. Budząc się rano i nie znajdując prezentu od Wróżki, dzieci bardzo płakały i czasem nawet z tego smutku zapomniały o tym, że w łazience czekają na nie z utęsknieniem szczoteczka i pasta do zębów. Gdy Zębuszka odkryła podstępne działanie Próchnicy, postanowiła rozprawić się z księciem – złodziejaszkiem. Zamknęła go w lochach pod różowym zamkiem i pilnowała, by codziennie rano i wieczorem Księżę Próchnica porządnie mył zęby. Od tej chwili wszystko wróciło do naturalnego porządku. Dzieci były zadowolone, mleczaki nie znikwały, a Wróżka cieszyła się wspaniałymi uśmiechami dzieci.

Marcin Lalak 7-2 OSiW





CHYTRY DWA RAZY TRACI



Dawno, dawno temu, kiedy wiadomości przekazywane były albo gołębiami pocztowymi, albo dzięki czujnym mieszczańskim plotkarkom, żył sobie kupiec Andreius. Moglibyśmy dać mu na imię po prostu Andrzej, ale Andreius nie był na tyle zwyczajny, by nosić zwyczajne imię. O, nie! Był to kupiec – skuteczny nad wyraz. Każdą monetę sprawdzał, a każdego denara pomnażał po wielokroć. Może i dlatego Andreius – oddany całkowicie pracy – dochował się tylko jednej córki? Mówiło się, że żona Andreiusa, Anna miała po prostu dosyć jego siedzenia dniami i nocami w składzie kupieckim – a był to skład wielki i piękny, pełen takich rarytasów i tajemnic, o jakich byście sobie nie zamarzyli, więc oddała się całkowicie wychowaniu córki oraz ploteczkom w gronie kumoszek z miasteczka. Nie będzie to jednak opowieść ani o Annie, ani też o jej córce i Andreiusie. Będzie to opowieść o tym, co w życiu ważne.





Zasadniczo więc historię tę powinniśmy zacząć od dnia, kiedy do składu Andreiusa trafiło nie byle co, bo skóra krokodyla. Kupiec, który z nią przyszedł, mówił, że to skóra zdarta ze smoka przez wrażego rycerza, ale kto by wierzył w smoki? Nawet, jeśli jakiś by się uchował, to przecież taka bestia paliła wsie i pożerała dziewice, jak zatem mógłby przeciwstawić się jej tylko jeden rycerz? Krokodyl – to, co innego.

Wiadomo było, że gdzieś w dzikiej Afryce, przy brzegach Nilu, można znaleźć prawdziwe bestie – straszne, brzydkie, ale niezające ogniem, za to posiadające, wysoko cenione przez handlarzy, zęby i skórę. Andreius zbadał towar, zapłacił przybyszowi odpowiednią kwotę i ucieszył się z transakcji, bo też i pomyślał, że uda mu się odsprzedać komuś skórę za dużo wyższą sumę. Tymczasem w pobliskim dworze, król ogłosił, że wreszcie chce ożenić swojego syna i w związku z tym wprowadza zarządzenie, by każdy zamożny mieszczanin sprezentował coś zachwycającego swojemu przyszłemu władcy. Gdy Andreius o tym usłyszał, przeraził się.

– Pewnie na dwór już dotarło, że kupiłem krokodylą skórę, na którą wydałem fortunę i teraz król zażąda, bym darmo ją oddał w darze dla jego syna – martwił się. Długo główkował, jak uniknąć tak dużej straty i wreszcie wykombinował.

– Każę swojemu pomocnikowi wywieźć skórę daleko stąd, do Krakowa, a królowi powiem, że mi ją ukradli – stwierdził i tak właśnie uczynił. Wysłał swojego pomocnika w daleką podróż ze skórą, a Gerwazemu – kanclerzowi królewskiemu, który zapukał do jego drzwi, opowiedział, że złodziejem okazał się jego pracownik, który ze skórą uciekł i tyle go widziano.

– Jak to ukradł?! Jak to uciekł? – wzburzonym głosem wykrzyknął Gerwazy. – Czyżbyś Ty Andreiusie, mający tak wielkie wyczucie w sprawach pieniądza, nie poznał się na człowieku i dał się wystrychnąć na dudka?





– Ach, panie, toż to ten człowiek od lat mi służył radą i pomocą – rozłożył bezradnie ręce kupiec. – Nigdy bym nie przypuszczał, że się tak zachowa.

– Czym prędzej zatem wyślemy za nim pogoń! – rozkazał kanclerz. – Sprawiedliwość osiągnie tego nikczemnika, a skórę odzyskasz i będziesz mógł złożyć ją w prezencie naszemu księciu. Andreius, już po wyjściu kanclerza, zadrżał. Czuł, że postąpił bardzo niegodziwie, ale wciąż liczył na to, że kłamstwo ujdzie mu płazem. Minął tydzień. Pewnego dnia do składu wkroczyła królewska straż i ku wielkiemu zaskoczeniu Andreiusa, zaprowadziła go do sądu. Tam stary sędzia zwany Sokołem (ze względu na swój przenikliwy umysł), ogłosił, co następuje:

– Pomocnika złapano, jednakże nie miał on przy sobie skóry krokodyla – mówił. – Za rzeką Odrą został napadnięty przez grupę rabusiów, którzy ogołocili go aż do kalesonów. Przepadła w tym i skóra krokodyla, której jak twierdzi wcale nie ukradł, a jedynie przewoził do miejsca wskazanego przez ciebie Andreiusie. Ale idźmy dalej. Straż królewska nie dała za wygraną i dopadła rabusiów, którzy okradli twojego pomocnika. Niestety jak się okazało zdążyli już oni w międzyczasie sprzedać skórę pewnemu kupcowi w Dreźnie, którego ostatecznie służbom naszym nieugiętym także udało się odnaleźć. Pokazał on zakupioną skórę strażnikom i wyjawiał, że po dokładnym zbadaniu skóry, z zaskoczeniem odkrył, że jest to po prostu zgrubiała, zafarbowana skóra świńska, o mizernej dla niego wartości.

Słyszając ostatnie zdanie Andreius z przerażeniem pomyślał o straconych pieniądzach. Ale późniejsze słowa sędziego, uświadomiły mu, że to nie pieniądze są największą stratą jaką poniósł w tej transakcji.

– Król postanowił być dla ciebie łaskawy Andreiusie, bo uznał, że karę już dotkliwą poniosłeś, tracąc pieniądze, wiernego pomocnika, a także dobrą opinię. W więzieniu cię nie zamknę – szkoda twojej rodziny, ale żyć ci teraz łatwo nie będzie, bo i kto będzie chciał dobijać targu z oszustem?





I faktycznie. Chciwy Andreius stracił klientów i przez wiele lat nikt nie chciał mu zaufać. Musiał długo pracować, by odzyskać reputację i udzielić wiele razy jałmużny, by odmienić złą opinię, która przykleiła się do niego niczym rzep.

Opowiadając sobie historię Andreiusa, ludzie w mieście często powtarzali powiedzenie: „chytry dwa razy traci”. Z czasem jednak zaczęli dodawać: „Ale dobrze, że chociaż czasem taka strata, pozwala chytreemu odzyskać rozum”.

Cezary Kordek, Mariusz Pajak 7-6 ŚHP



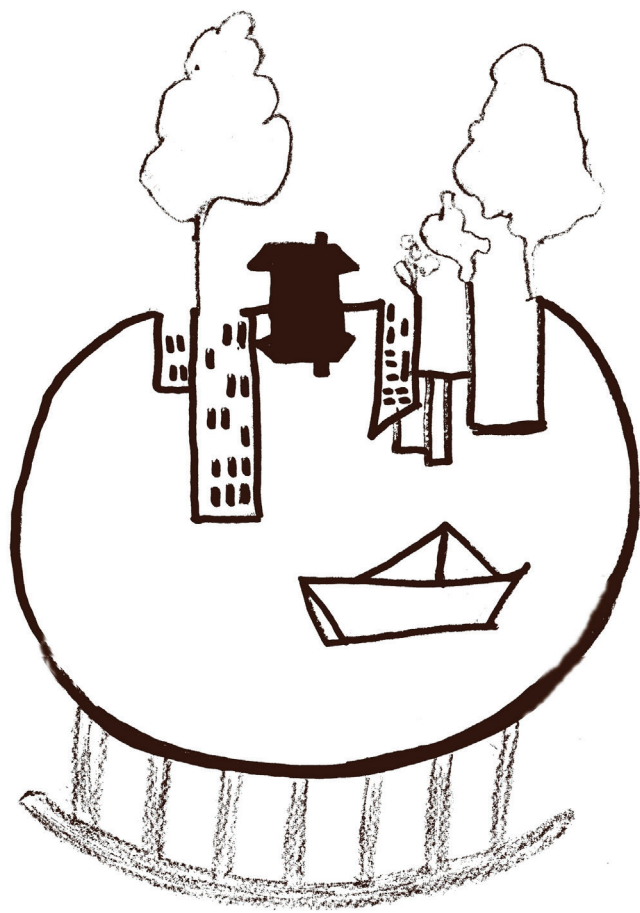


MIASTO

Gdzieś
bardzo
daleko,

a może zupełnie
blisko, leży małe,
nieznane mia-
steczko Nowa
Generacja. Wie-
dzą o nim tylko
nieliczni, tylko
ludzie posiada-
jący kryształo-
we serca i czyste
umysły. W cen-
trum Gene-
racji stoi niepo-
zorna, maleńka,
już opuszczo-

na chatka. Wszyscy omijają ją z daleka, ponieważ wygląda tajemniczo
i niektórych ową tajemniczością nieco odstrasza, a jednak to chatka niezwy-
kła – jedyne miejsce na Ziemi, przez które można przejść na drugą stronę
świata. Nad miastem wiecznie świeci ogromne, złociste słońce, przyodziane
w błękitną tunikę nieba. Codziennie jego pyzata, ciągle uśmiechnięta bu-
zia obserwuje życie mieszkańców. Swoimi ciepłymi promieniami otula ono
ludzi, dając im radość. Spokojna, przyjazna atmosfera miasta sprawia, że
wszyscy prowadzą beztroskie, bezpieczne życie. Nikt tutaj nie czuje się sa-
motny i opuszczony.





Mieszkańcy są zawsze uśmiechnięci, życzliwi, uprzejmi, bezpretensjonalni, pomagają sobie wzajemnie. Żyją w szklanych domach, wśród bujnej, przepięknej, barwnej zieleni. Tutaj powietrze jest kryształowo czyste. Nie ma trującego smogu, ani szkodliwych dla zdrowia spalin. Ludzie jeżdżą nowoczesnymi, ekologicznymi poduszkowcami. Pracują w fabrykach, które nie zanieczyszczają powietrza. Dzieci uczą się w multimedialnych szkołach. Zamiast książek i zeszytów noszą lekkie ultrabooki. Młodzież chodzi do ponadczasowego kina 6 D lub na niekonwencjonalne sztuki teatralne wystawiane przez androidów. Wieczorami mieszkańcy spędzają czas w przytulnych, tworzących ciepły, domowy klimat kawiarenekach, gdzie piją ambrozję – napój szczęścia. Potem „spacerują” ruchomymi chodnikami wzdłuż wiszących, pachnących słodko ogrodów. W nocy miasto wygląda bajecznie. Długimi ulicami biegną wesołe, kolorowe światłowody, które wskazują mieszkańcom bezpieczną drogę do domu. Tutaj spokojna natura współgra z żywiołową, nowoczesną techniką. Miasto emanuje błogim spokojem. Nie ma w nim miejsca dla agresji i okrutnej przemocy. Elektroniczni policjanci są tylko po to, aby kierować ruchem ulicznym. Przez miasto wolno, leniwie płynie Spokojna Rzeka. W jej głębokich, błękitnych wodach mieszkają złote rybki, spełniające najskrytsze ludzkie marzenia. Przeciwnie, brzegi miasta łączą fantastyczny most, zbudowany z bajecznej, mieniającej się kolorami tęczy. Miasto otoczone jest pasmem wysokich, niedostępnych, skalistych, sięgających nieba gór. Są one najlepszymi strażnikami broniącymi miasto przed wścibskimi intruzami z szarej rzeczywistości.

Chciałbyś odwiedzić Generację? Wyzwól serce, oczyść umysł, a potem zamknij oczy i poddaj się marzeniom. Pewnego dnia ją zobaczysz. Poznasz to miejsce bez trudu, w jego centrum stoi niepozorna, mała, dawno już opuszczona chatka...

Katarzyna Kowalska 7-6 ŚHP





PLANETA LODZIARZA

P^o długiej i męczącej podróży Mały Książę trafił na pewną planetę. Była ona niewielka i bardzo dziwna. Dopiero, kiedy chłopiec dokładnie jej się przyjrzał zorientował się, że jest to lodowa planeta. Wokół rozpościerały się kolorowe, przypominające świeży, pusty śnieg pasma gór. Seledynowa zieleń pistacji przeplatała się z czerwienią dojrzałej truskawki. Ogromna kula lodów cytrynowych sprawiała wrażenie radośnie świecącego słońca. Strome lodowe stoki obfitowały w przypominające kamienie bakalie, pomiędzy którymi drobne ziarenka sezamu wyglądały niczym złocisty piach. Na wyższych partiach gór leżała czapa bitej śmietany, a u ich podnóża radośnie płynęły strumyki mlecznej czekolady. Oczarowany bajecznym wyglądem planety Mały Książę zatęsknił nagle za swoją Różą. Żałował, że nie ma jej razem z nim. Zanużony w marzeniach, nie zauważył nawet, że nie jest sam, dopóki z zadumy nie wyrwał go ostry, gruby męski głos. Nad przerażonym chłopcem stał mały, chudy, człowieczek o łagodnych, niemal dziecięcych rysach twarzy. Nieznajomy ubrany był w biały uniform cukiernika.





Powoli zbliżył się do przepełnionego strachem chłopca.

– Witaj młody człowieku – zawołał pogodnie i w przyjaznym geście wyciągnął dłoń.

– Dzień dobry – odpowiedział niepewnie Mały Książę. – Kim Pan jest i co tu robi?

– Jestem Lodziarzem – odpowiedział pogodnie człowieczek. – Moja rodzina od pokoleń zamieszkiwała tę planetę. Pełno tu było wesołych, bawiących się dzieci. Dla nich to właśnie codziennie wyrabiałem lody w najdziwniejszych smakach. Życie wtedy miało sens. Patrzyłem się z radością jak te dzieciaki zjadają się moimi specjałami.

– Co się zatem stało? – zaciekał się Mały Książę.

– Zazdrosny i okrutny Cukiernik uwięził je wszystkie na swojej Piernikowej Planecie i teraz jestem zupełnie sam – lodziarz pochylił smutno głowę, a po bladym policzku spłynęła mu łza.

– Niech się już pan nie martwi – pocieszył rozmówcę mały przybysz. – Ja chętnie poczęstuję się pana przepysznie wyglądającymi lodami.

Na te słowa twarz mężczyzny rozjaśniła się w uśmiechu.

– Dziękuję ci, chłopcze. Dzięki tobie odzyskałem sens tego, co robię. Mam nadzieję, że kiedyś dzieci powrócą na moją planetę i znowu będę dla nich tworzył najróżniejsze smakowite lody.

I nagle znów Mały Książę zatęsknił za swą cudowną, jedyną na świecie Różą. Ogromna miłość do niej była z kolei sensem jego życia. Wiedział, że za wszelką cenę musi wrócić do swojej ukochanej.

– Muszę już iść – zwrócił się do Lodziarza. – Nigdy nie zapomnę ciebie i twojej cudownej planety.

Odchodząc Mały Książę pomyślał, że jednak szczęście dorosłych nie może istnieć bez dzieci.

Katarzyna Pokora 7-6 ŚHP





MAŁA SNOWBI

Imię:

Snowbi

Muza:

Snowboardzistów

Atrybuty:

Kask i Snowboard

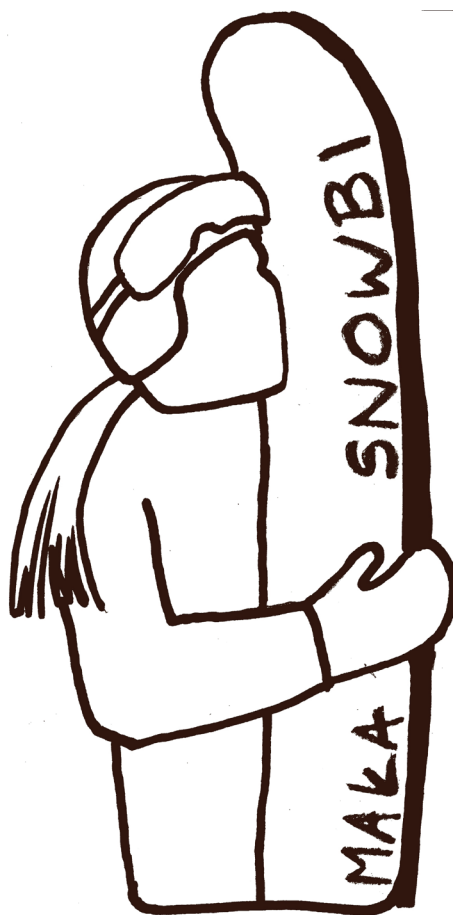
Hobby:

Zabawa na stoku

Pewnego
pięknego,
zimowego

dnia, z płatka śniegu
narodziła się dzie-
sięta muza. Nada-
no jej imię Snowbi.
Dziewczyna miała
piękne, kryształ-
owo niebieskie oczy
i bladą cerę. Na jej

smukłe ramiona opadały długie, brązowe włosy, a z czerwonych, przypominających malinę ust, nigdy nie schodził uśmiech. Z pór roku najbardziej lubiła zimę. Wtedy to mogła oddawać się swoim ulubionym zabawom takim jak choćby zjeżdżanie na kawałku drewna z ośnieżonego Olimpu. Gdy tylko miała wolną chwilę zabierała deskę i szusowała po stoku. Godzinami ćwiczyła coraz to bardziej skomplikowane techniki jazdy. Królujący na Olimpie Zeus bacznie przyglądał się dziewczynce. Podziwiał jej zaangażowanie i wytrwałość. W dowód uznania podarował małej sportsmence złoty snowboard.





Sympatyczną, promieniującą radością Snowbi uwielbiali wszyscy zamieszkujący Olimp bogowie. Jednak Snowbi była najbliższa sercu Ateny. Mądra bogini wiedziała, że to co robi jej pupilka jest niebezpieczne. Dlatego podarowała jej kask, który od tej pory wyróżniał ją spośród innych muz. Gdy Snowbi skończyła dwadzieścia lat Zeus pozwolił jej zejść na ziemię. Pochłonięta swoim hobby, Snowbi bez końca szalała na górskich stokach. Jednak pewnego dnia zdarzył się wypadek. Wiązanie przy snowboardzie pękło i Snowbi przewróciła się. Niemal natychmiast zjawiała się pomoc. Pośluzoną i obolałą dziewczynę sprowadził bezpiecznie do schroniska młody ratownik GOPR-u, o imieniu Troj. Chłopak od pierwszego spojrzenia zakochał się w niebieskookiej piękności, która stała się... jego muzą. Jak się okazało Troj także był snowboardzistą, olimpijczykiem, który przygotowywał się do zimowych igrzysk. Piękna nieznajoma stała się jego natchnieniem. Chciał zaimponować dziewczynie i zdobyć medal olimpijski. Całymi dniami trenował więc, aby osiągnąć cel i spełnić swoje marzenie. W końcu przyszedł dzień, w którym odbywały się zawody. Wśród kibiców znalazła się również Snowbi. To jej młody sportowiec zadedykował swój występ. Wystartował i... zwyciężył. W zasypanej śniegiem góralskiej chacie, przy rozpalonym kominku siedzi para młodych ludzi. Popijają gorącą czekoladę. Troj delikatnie trzyma dłoń Snowbi.

– Dziś wygrałem dzięki tobie – szepcze do dziewczyny. – Moje marzenie spełniło się, jestem szczęśliwy.

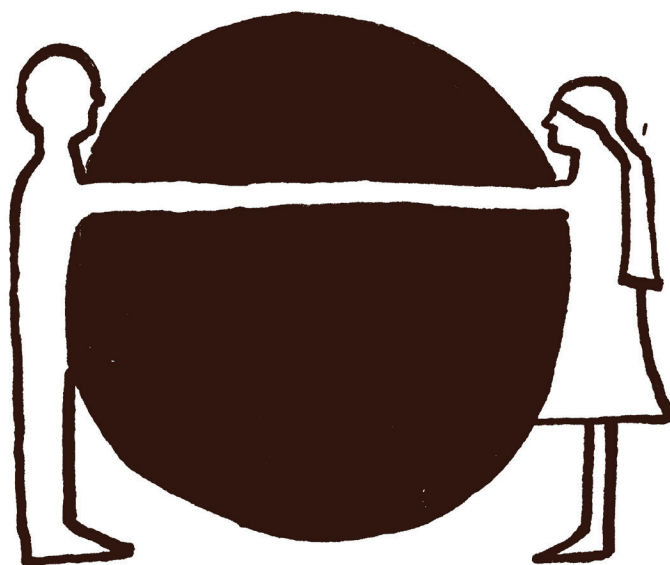
Snowbi nic nie odpowiada, w końcu przecież jest muzą snowboardzistów, więc natchnionemu jej obecnością Trojowi, musiało się udać. Ona też cieszy się jego szczęściem i tym, że może być tuż obok niego. Dlatego milczy i tylko delikatnie się uśmiecha. W chatce słychać delikatne trzaskanie iskier, których taniec odbija się w złotym medalu igrzysk olimpijskich.

Aleksandra Kwiatek 7-6 ŚHP





ZACMIENIE



Dawno temu w Grecji żyło się spokojnie i dostatnio. Za dnia ludzie uprawiali pola i winnice, a te odwdzięczały im się, wydając co roku hojne plony. Wieczorem Grecy biesiadowali przy suto zastawionych stołach i bawili się wesoło, odpoczywając po trudach dnia. Tak błogi żywot zapewniała ludziom obecność bogini dnia San i boga nocy Lunosa. San była niezwykle urody. Na jej twarzy gościł zawsze promienny uśmiech. Oczy bogini miały kolor błękitnego nieba. Ramiona oplatały jasne, długie włosy, a smukłą, zgrabną figurę okrywała uszyta z delikatnej pajęczyny biała suknia. San kochała ludzi. Dbała o to, aby nie zabrakło im potrzebnego do życia słońca. Codziennie o poranku na błękitnym niebie rozpaliała więc gorącą, złotą kulę i strzegła jej do samego wieczora, gdy na Ziemię, za sprawą Lunosa, schodził mrok.





Bóg nocy był bardzo przystojnym młodzieńcem o kruczoczarnych włosach, brązowych oczach i śniadej cerze. Rozpościerał nad Ziemią czarną pelerynę zdobioną srebrnymi gwiazdami. To właśnie dzięki Lunosowi, pracujący w dzień ludzie, mogli odpocząć nocą podczas snu. Mimo ludzkiego uwielbienia, Lunos nie był jednak szczęśliwy. Od dawna kochał San, ale mógł ją widzieć tylko przez chwilę, kiedy dzień mijał się z nocą. Trwało to wieki, aż wreszcie, Lunos nie wytrzymał. Pewnego dnia porwał San do swojego królestwa, tym samym zabierając ludziom dzień. Ziemię ogarnęła ciemność, a wraz z nią przyszedł głód i bieda. Żyjący w ciemnościach Grecy stali się źli i ponurzy. Panujący na Olimpie potężny Zeus, władca wszystkich bóstw, zachodził w głowę jak naprawić sytuację, co zrobić, aby znów wszystko wróciło do normy. Długo myślał, aż w końcu wpadł na najlepszy z możliwych pomysłów. W swej łaskawości, pozwolił Lunosowi ożenić się z piękną San, a w prezencie ślubnym podarował im jedną z greckich wysp. Co prawda młodzi małżonkowie spotykali się na niej tylko o zachodzie słońca, ale cieszyli się każdą wspólnie spędzoną chwilą. Ich miłość była szczera i oddana. Po kilku latach urodził im się syn Eklipus, któremu Zeus powierzył panowanie nad słońcem i księżycem. Eklipus, jako symbol wielkiej miłości San i Lunosa, co jakiś czas zakrywa na moment słońce księżycem. Kiedy tak się dzieje, ludzie na Ziemi mogą zaobserwować na niebie niezwykle widowisko – całkowite zaćmienie słońca.

Magdalena Gałęzowska, Kinga Janicka 7-6 ŚHP





MAŁPIE FIGLE



Było już późno. Wiatr wiał delikatnym chłodem w północną stronę Zifrelandii. W niewielkiej chatce przy lesie mieszkał mały chłopczyk o imieniu Gabryś. Był on szczupłej budowy ciała, miał ciemną karnację i krótkie czarne włosy. Najczęściej chodził ubrany w niebieskie szerokie spodnie w kropki i zieloną koszulę w białe paski, a na głowie nosił żółty kapelusz w śmieszne wzorki. Pewnego dnia Gabryś wraz z rodzicami wybrał się do pobliskiej krainy, w której z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia, mógł wybrać sobie prezent – zwierzątko. Kraina ta słynęła bowiem z przeróżnych śmiesznych stworzeń. Były tam koty skaczące na trampolinie, kaczki jedzące pączki, świnki żonglujące tortami i wiele innych śmiesznych zwierzątek. Wędrując zwierzęcymi alejkami i podziwiając tamtejszych mieszkańców, chłopiec dostrzegł wśród nich małą rudą małpkę. Jego wzrok przykuło zwłaszcza to, że małpka wyglądała na bardzo smutną.





Chłopcu zrobiło się żal stworzenia i dlatego od razu pomyślał, że to właśnie ją zabierze do domu, czym być może przywróci jej radość. I faktycznie tak się stało. Gabrys bardzo zaprzyjaźnił się z małpką. Nadał jej imię Fifi, co małpce najwyraźniej się spodobało, bo od razu zaczęła na nie reagować. Gabrys z Fifi stali się nierozłączni, robili różne figle i psoty, niestety z dnia na dzień małpka była coraz bardziej niesforna. A ponieważ Gabrys praktycznie się z nią nie rozstawał, więc również wspólnie dokuczali i robili psikusy wszystkim, których spotkali na swojej drodze. Rodzice chłopca upominali go, że przez Fifi bardzo się zmieniał.

– Synu, nie można wylewać przechodniom wody, nie można ciągle psocić – mówili, ale Gabrys robił swoje.

Pewnego dnia po śniadaniu, chłopczyk z Fifi postanowili powyglądać się na drzewie. Fifi jak to małpka sprytnie skakała z gałązki na gałązkę, ale gdy Gabrys spróbował zrobić to samo, w pewnym momencie zaplątał się w gałęzie i spadł. Przestraszona małpka z krzykiem pobiegła do domu po pomoc. Rodzice zaniepokojeni faktem, że Fifi wróciła do domu sama i niespokojnie po nim biega, wybiegli szukać syna. Znaleźli go leżącego pod drzewem. Gabrys nie mógł ruszyć nogą i bardzo płakał. Tata zawiózł synka do przychodni, gdzie Gabrysia obejrzał lekarz i stwierdził:

– Noga jest złamana. Musimy ją włożyć w gips. Na długi czas będziesz musiał zapomnieć o figlarnych wybrykach z przyjacielem – zaznaczył.

Po powrocie do domu rodzice przeprowadzili rozmowę z Gabrysiem, podczas której próbowali uświadomić chłopcu, jak niebezpiecznie i nieodpowiedzialnie ostatnio postępował, i jak jego pomysły mogły doprowadzić do jeszcze większego, niż tylko złamanie nogi, nieszczęścia. Chłopiec ze skrucą przyznał rodzicom rację. W końcu to on był odpowiedzialny za Fifi i narażał nie tylko swoje zdrowie, ale także i jej. Teraz na przykład doprowadził do tego, że małpka jest smutna, bo on złamał nogę i nie może się z nią bawić.





– Gdyby dziecko nie skakało to by nóżki nie złamało – pomyślał ze smutkiem chłopiec i postanowił, że gdy tylko wyzdrowieje, zacznie rozsądniej spędzać czas z Fifi, dbając również o ich wspólne bezpieczeństwo, a nie tylko o dobrą zabawę.

Aleksandra Walczuk, Klaudia Siemińska, Natalia Komar 7-7 ŚHP





KRÓTKA HISTORIA O ODNALEZIONYM SZCZĘŚCIU

Da w n o ,
d a w n o
temu za
górami, za lasami żyła
sobie zła dziewczyn-
ka Kamila. Nie miała
żadnej rodziny, bo jej
rodzice dawno umar-
li, ani rodzeństwa, bo
rodzice oprócz niej nie
mieli innych dzieci,
tak więc odkąd sięgała
pamięcią, zawsze była
sama. Kiedy rano
budziła się ze snu
była sama, wieczorem
również kładła się spać.



Oczywiście znała inne dzieci, ale one jej nie lubiły, nie zapraszały jej na swoje urodziny, do wspólnych gier i zabaw, co więcej można nawet powiedzieć, że unikały jej. Kamila nigdy nie zastanawiała się dlaczego tak się dzieje, po prostu tak było od zawsze i już. Dziewczynka nie płakała z tego powodu, radziła sobie z przykrym stanem w inny sposób. W czasie przerw między lekcjami, gdy inne dzieci spędzały czas razem, ona znajdowała sobie kogoś, komu dokuczała. Śmiała się z Joli, że ma brzydkie rajstopy, z Olka, że jest taki gruby, z Gabrysi, że ma krzywe zęby. Dzieciaki ciągle na nią skarżyły i przez nich musiała się tłumaczyć się dyrektorze szko-





ły i nauczycielom, którzy bez przerwy wzywali ją na pouczające rozmowy. Niech no tylko zadzwoni dzwonek na przerwę – myślała wtedy Kamila.

– Już ja oduczę skarżenia, te ciamajdy jedne!!! Przecież śmiech to zdrowie, dlaczego nie mogę się z nich śmiać?! Dzięki temu będę zdrowa, oni przecież też mogą się śmiać, przecież im tego nie zabraniam.

Takie zachowanie nie zjednywało Kamili ludzi. Mijały więc lata, a ona wciąż nie miała nawet jednego przyjaciela. Pod koniec marca wychowawczyni ogłosiła, że w maju wszystkie klasy VI wyjadą na wycieczkę w góry. Będzie to okazja do wspólnego spędzania czasu wolnego, zabawy i integracji. Nie będzie już żadnych lekcji, jak to bywało na „zielonej szkole” tylko miłe spędzanie czasu na łonie natury z dala od miasta, pośpiechu, klasówek i odpytowania. Propozycja pani przypadła dzieciakom do gustu. Już planowały, kto z kim będzie siedział w autokarze, kto z kim będzie w jednym pokoju, kto z kim będzie się bawił. Tylko Kamili było wszystko jedno, przecież jadą same ciamajdy bez gustu, więc nie ma znaczenia, na kogo ona trafi. Trzeba jechać to pojedzie, jak zwykle.

Wyjazd rozpoczął się zaraz po długim weekendzie. Pogoda była piękna, dni długie. Widok na góry z okien pensjonatu w którym mieszkali, fantastyczny. Dzieciaki dobrze czuły się w swoim towarzystwie, przecież znały się już tyle lat i niejedno razem przeżyły. Tylko Kamila trzymała się na uboczu całej grupy. Nie zdążyła przecież z nikim się zaprzyjaźnić, nikogo polubić i nikomu polubić się nie dała. Ponieważ podczas wycieczki nie mogła zbyt nikomu dokuczać, bo ciągle kręciły się nauczycielki i mamy, które przyjechały do pomocy, Kamila po raz pierwszy poczuła się naprawdę opuszczona. Pozazdrościła kolegom i koleżankom, którzy mieli się z kim bawić, rozmawiać, grać w piłkę, a nawet z kim siedzieć w autokarze. Tylko ona spędzała czas sama... Następnego dnia była zaplanowana wycieczka w góry. Wszyscy mieli założyć buty na grubej traktorowej podeszwie.





W planach było zdobycie szczytu. Pogoda tego dnia sprzyjała wyprawie. Każdy z wypełnionym prowiantem plecakiem ruszył żwawo w trasę, a na końcu wężyka dzieci, szła samotnie Kamila. Nagle dziewczynce obsunęła się noga i straciła równowagę. Przewróciła się i nie mogła wstać, bo noga bardzo ją bolała. Kamila rozglądała się za kimś, kto byłby jej w stanie pomóc, lub choćby wezwać pomoc, ale dookoła niej nikogo nie było. W panice zaczęła głośno krzyczeć. Wydawało jej się, że nikt jej nie słyszy i coraz bardziej się bała.

– Jak sobie teraz poradzę – zastanawiała się. – Sama nie dam rady nawet wstać. Nagle zobaczyła, że w jej stronę pędzi Gabrysia (ta z krzywymi zębami), z której nie raz się śmiała.

– Co się stało? – zapytała z przejęciem koleżanka. – Potrzebujesz pomocy?

– Tak – odparła Kamila, po raz pierwszy ciesząc się w duchu, z czyjejś obecności.

– Wiesz co? Pobiegnę po panią i powiem, że potrzebujesz pomocy, a ty nie ruszaj się i czekaj aż wrócimy – postanowiła Gabrysia i już jej nie było.

Nie minęło 10 minut a Gabrysia w towarzystwie wychowawczyni, znów wróciła po Kamilę. Po obejrzeniu nogi dziewczynki, Pani postanowiła wezwać pogotowie. Kamila trafiła do pobliskiego szpitala, gdzie od razu trafiła na salę operacyjną. Kiedy po operacji obudziła się, zobaczyła, że czeka na nią Gabrysia ze swoimi rodzicami. Nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować. Było jej głupio, że śmiała się z krzywych zębów Gabrysi i czuła wdzięczność, że mimo wszystko ta jej pomogła, a teraz jeszcze przyszła ją odwiedzić w szpitalu.

– Jak się czujesz? – przerwała w końcu milczenie Gabrysia i później już jakoś rozmowa między dziewczynkami sama zaczęła się układać.

Rodzice Gabrysi też okazali się bardzo mili dla Kamili. Dziewczynka zorientowała się, że koleżanka nie poskarżyła się rodzicom i nie powiedziała im o jej drwinach z niezbyt równych zębów. Kamila po tym pierwszym spo-





tkaniu pomyślała, że Gabrysia jest fajna i bardzo chciałaby, aby jeszcze ją odwiedziła. I tak się stało. Gabrysia odwiedzała Kamilę przez wszystkie osiem dni jej pobytu w szpitalu. Kiedy w końcu lekarz powiedział, że następnego dnia Kamila może wyjść do domu, dziewczynka zasmuciła się. Co prawda z jednej strony cieszyła się, że opuści szpital, a drugiej, bała się, że czas spotkań z Gabrysią też dobiegł końca. Kamila sama przed sobą przyznała, że bardzo polubiła Gabrysię i nawet nie przeszkadzają jej już te krzywe zęby. Jej obawy okazały się płonne. Gabrysia nadal chciała się spotykać z Kamilą. Okazało się, że obie mają podobne zainteresowania, lubią książki przygodowe, jazdę na rowerze i na rolkach. Pewnego dnia Gabrysia zaprosiła Kamilę do swojego domu na obiad. Na obiedzie oprócz rodziców, byli też dziadkowie Gabrysi.

– Ale fajną rodzinę ma Gabrysia - pomyślała z żalem Kamila. - Wszyscy są dla siebie tacy mili, żartują, opowiadają sobie ciekawe historie. Szkoda, że ja nie mam rodziny. Gdybym miała mamę, tatę, babcię i dziadka, nie byłabym taka samotna.

Pewnego dnia rodzice Gabrysi znów zaprosili Kamilę, tym razem jednak na wspólny wyjazd na wakacje nad morze. Ostatniego dnia chcieli z nią poważnie porozmawiać. To wtedy mama Gabrysi zapytała, czy Kamila nie chciałaby może z nimi zamieszkać, bowiem oni marzą o tym, aby ją adoptować.

– Tak, tak, tak!!! - krzyczała szczęśliwa Kamila, na zmianę śmiejąc się i płacząc, i nie była w tym sama, bo wraz z nią śmiała się i płakała też i Gabrysia, i ich wspólni od teraz rodzice.

Patryk Kalata, Maciej Mielcarz, Mateusz Marzęta 7-9 ŚHP





PODRÓŻ MARZEŃ

Dawno,
dawno
temu,
a może nie tak daw-
no, w małym mia-
steczku na końcu
świata, a może na po-
czątku, żyła z rodziną
pewna dziewczynka
o imieniu Arianna.
Arianna była bardzo
ładną dziewczynką.



Miała lekko zadarty nos, stalowo szare spojrzenie i włosy o złotym blasku. Do szczęścia Ariannie brakowało tylko jednego. Przyjaciela. Mimo tego, iż miała wszystko, czego zapragnęła, bo rodzice dbali o to, by nic jej nie brakowało, nie potrafiła znaleźć nikogo, kto by chciał się z nią zaprzyjaźnić. Pewnego dnia, gdy dowiedziała się, że nauczycielka w szkole, chce ją zabrać na wycieczkę do Francji, Arianna zamiast się ucieszyć posmutniała. – Dlaczego jesteś taka smutna? – zapytał córkę tata. – Czy to z powodu wyjazdu do Francji?

Arianna wyznała ojcu swoje obawy, a on przytulił ją i popatrzył na nią swoimi brązowymi, błyszczącymi oczami.





Arianna lubiła jak tata na nią tak patrzył, bo w jego oczach odnajdywała spokój i przekonanie, że wszystko będzie dobrze. Po rozmowie z tatą dziewczynka poczuła się lepiej, spakowała walizkę i następnego dnia, wraz z innymi dziećmi ze szkoły wsiadła do autokaru i ruszyła na wycieczkę. Obok niej w autokarze zajęła miejsce Rozalia. Dziewczynki od razu się polubiły i zaczęły ze sobą rozmawiać, opowiadając sobie różne ciekawe historie. Arianna zauważyła, że Rozalka jest bardzo lubiana przez innych, często przez nich zagadywana i zapraszana do zabawy. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego tak się dzieje, że nowo poznana koleżanka ma tylu przyjaciół, a ona nie ma nawet jednego. Zanim jednak zdążyła znaleźć odpowiedź na to pytanie autokar dojechał na miejsce. We Francji było pięknie. Ludzie nosili tam na głowach zielone włosy, a Wieża Eiffla wyglądała w nocy tak pięknie, jak choinka w Boże Narodzenie. Dni upływały na zwiedzaniu, a wieczorami na zabawie. Każdego dnia inaczej, a to dyskoteka, a to gra w kolory, w „Państwo, Miasto, Rzecz”, itp. Pewnego popołudnia pani ogłosiła konkurs plastyczny, w którym dzieci miały narysować to, co najbardziej kojarzyło im się z Francją. Arianna zdecydowała się, że przedstawi Wieżę Eiffla nocą, bo ta najbardziej jej się spodobała. Namalowana ją iskrzącą tysiącem światełek i ten właśnie rysunek najbardziej spodobał się komisji konkursowej. Pierwsze miejsce w konkursie zajęła Arianna, drugie Rozalka, a trzecie Maciuś. Radości nie było końca. Dzieci gratulowały Ariannie sukcesu, podziwiała wielobarwność jej pracy. Dziewczynka czuła się szczęśliwa. Z emocji w nocy trudno było jej zasnąć. To wówczas uświadomiła sobie, że właśnie spełnia się jej marzenie, że w końcu ma się z kim bawić, jest lubiana. Zrozumiała, że każdego dnia zyskuje nowych przyjaciół, bowiem ona również bawi się z nimi, jest wesoła, rozmawia i słucha ich uważnie. Adrianna zrozumiała, że czasami, żeby znaleźć przyjaciół trzeba ich po prostu poszukać, troszeczkę otworzyć się na świat i przyjąć to, co on daje.





Po powrocie do domu rodzice nie poznawali swojej córki: była uśmiechnięta, dużo opowiadała o wyjeździe, o swoich przyjaciółkach, pokazywała mnóstwo zdjęć. W końcu spełniło się jej marzenie, miała przyjaciół, na których mogła polegać oraz rodziców, którzy ją kochali, a czegoż do szczęścia trzeba więcej?

Ewelina Guba 7-9 ŚHP





BAJKOWE WRÓŻKI



Dawno, dawno temu za górami, za lasami, w brzozowym gaju, na skraju ruczaju stał domek drewniany, kolorowo malowany. W środku mieszkaly wróżki, co miały malutkie nóżki, ich oczy były zielone, a na głowie miały koronę. Wróżki wieczorem z lasu wylatywały i do chorych dzieci po cichu latały. Tym dzieciom czas umilały i cudowne opowieści im wymyślały. Na buziach dzieci uśmiech się robił jak malowany, gdy poznawały świat zaczarowany. Lecz raz pewnego, wieczorem, gdy dzieci na wróżki czekały, one... nie przyleciały. A zapłakane dzieci czekały i... czekały. Dni parę upłynęło, gdy jedno z dzieci nagle huknęło: – Idę odnaleźć malutkie wróżki, które już nie przylatują do mej poduszki! – tak huknął Piotruś, po czym zapłakany, wyruszył w podróż, w świat wrózek nieznaną. Przy domku malutkim, z ganeczkiem wąziutkim, stał ogr grubaśny i potrząsał domkiem strasznie.





Szedł przez las wielki i złowrogi, a zewsząd widział zwierząt ciemne nogi. Przyśpieszył tempa, tam gdzie droga kręta, i na końcu drogi zobaczył, obrazek trwogi. Zamknięte w domku wróżki, za próg wystawić nóżki nie mogły nawet wcale. Widząc co z wrózkami się stało, Piotrusia serce zabolalo. Co prędzej pobiegł na polanę, opowiedzieć zwierzętom, co jest grane. O, ho, ho, ho - wołał króliczek, za głowę złapał się bzyček. Zwierzęta się zebrały i do domku wrózek pognały. A tam ku ich wielkiemu zdziwieniu ogr siedział już grzecznie na kamieniu. I słuchał uważnie bajeczki o różnych przygodach niegrzecznej Haneczki. Uśmiechał się słodko i senny upadł na błotko. Był to ogr malutki, co nosił duże czerwone butki. Zgubiły go jego duże ogrze ludki razu pewnego podczas spaceru wieczornego. I chodził ogr malutki, wylewając w rękaw swoje smutki. Dotarł do chatki wróżki, a te opowiedziały mu bajkę do poduszki. Śpi sobie teraz słodko ze swoją niebieską maskotką. I czeka na ogrzą rodzinę, która przyjdzie tu za godzinkę. Piotruś miał już wesołą minę i on też mógł wracać, zobaczyć stęsknioną rodzinę. Na chłopczyka w oknach siostrzyczki czekały, ciekawe tego, co im opowie Piotruś mały?

– Nasze wróżki są w drodze, więc ktoś z was okno dla nich otworzyć może. I wleciały wróżki zadowolone, a radości niektóre zgubiły koronę. Dzieci z wrózek powrotu szczęśliwe, szybko zasnęły, śniąc bajki ogrom litościwe.

Sandra Gostyńska 7-11 HP





MAJÓWKA KASI, WOJTKA I JASIA

Był
miesiąc maj,
a pogoda dopi-
sywała. Kasia,
Wojtuś i Jaś
zaplanowali
więc majówkę.
Właściwie to
zaplanował ją
Wojtuś, bo ani
Kasia, ani Jaś
nie wiedzieli,
że coś takiego
jak majówka
istnieje. Jed-

nak Wojtek wytłumaczył im, że majówka to taka wyprawa w słoneczny ma-
jowy dzień, podczas której kieruje się swoje kroki na łąkę, żeby wygrzewać
się w wiosennym cieple. Z domu zabiera się koczek i koszyk z jedzeniem. Do-
brze, gdy łąka jest troszkę dalej, bo wtedy jak już się na nią dotrze, to o wiele
przyjemniej jest się rozłożyć i grzać brzuszkiem na słońcu. Po dłuższej drodze
bardziej też smakuje to, co przynosi się w koszyku.





Dzieci wieczorem postanowiły wybrać łąkę, na którą skierują swoje kroki. Siedząc na parapecie wyglądały przez okna na piętrze domu i obserwowały okolicę, szukając miejsca najbardziej kolorowego i kwiecistego. Gdy podjęły decyzję, wcześniej poszły spać, by nazajutrz o poranku rozpocząć majową przygodę. Jak zaplanowali, tak zrobili. Okazało się, że wybrana przez nich łąka, jest tak piękna, że zapiera dech. Soczyście zielona trawa, piękny zapach kwiatów i wzniesienie, z którego rozpościera się widok na cały piękny teren wokół. To właśnie na tym wzniesieniu Kasia, Wojtuś i Jaś rozłożyli koc i skierowali brzuchy w stronę słońca.

Kasia dostrzegła na łące drobnutki niebieskie kwiatuszki, które nazywa się niezapominajkami. Jasiowi najbardziej spodobaly się maki, ze swoją głęboką radosną czerwienią. Wśród kwiatów dryfowały pszczoły i motyle. Jeden wyjątkowo kolorowy przysiadł tak blisko, że Jaś chciał go dotknąć, ale spłoszony owad szybko czmychnął, by przysiąść na kolejnym kwiatku w bezpiecznej odległości. Mijało południe i słońce mocno przygrzewało. Dzieci leżały teraz z przymkniętymi oczkami chłonąc promienie słońca. Delikatny wiatr muskał ich policzki, a w koło słyhać było brzęczenie owadów. Gdy już wydawało się, że wszyscy całkiem zasnęli, nagle słońce przesłonił jakiś cień. Wojtuś spojrzał w górę i zobaczył coś białego i pierzastego na niebie. Leżący obok Jaś również spojrzał w niebo, podążając za spojrzeniem przyjaciela. Pierzastych kłębków było coraz więcej, i więcej. Po chwili całe niebo było nimi usłane.

– To takie dziwne chmury – wytłumaczyła chłopcom Kasia. – Jeżeli chcecie opowiem Wam skąd się wzięły – zaproponowała.

Wojtusiowi i Jasiowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Stulili się razem i oddychając miarowo wsłuchiwali się w spokojny głos Kasi.

– W czasach, gdy pradawne koty panowały na ziemi, na niebie było samo





grzejące wszystkich przez okrągły dzień i przez okrągły rok słońce. Dzięki temu cały czas było ciepło i każdy mógł wygrzewać się, ile tylko chciał. A kotom nie było nawet potrzebne futerko do ogrzania się. Nie było przecież ani chłodnych, ani deszczowych dni. W tych spokojnych i wspaniałych czasach dumny król kotów, był także królem wszystkich zwierząt. Jego królestwo było ogromne i sięgało po horyzont. Nie obejmowało jednak całego świata. Były takie krainy, w których o królu nie słyszano. Królowi kotów się to nie podobało. Postanowił udać się w podróż, odwiedzić wszystkie krainy i pokazać się wszystkim swoim poddanym. W podróż król zabrał swoją ulubioną poduszkę. Idąc w nieznanne kraje wyrывał kawałki puchu ze środka i rzucał w równych odstępach tak, by później po śladach móc odnaleźć drogę powrotną do domu. Świat jest jednak dużo większy niż nawet najmądrzejszym kotom się wydaje. Podróż zajęła królowi kotów wiele miesięcy i zaprowadziła go bardzo daleko od domu. Pewnego dnia zdarzyło się nieszczęście. Dmuchał ogromny wiatr i wszystkie pozostawione przez króla kotów ślady rozwiął po całym niebie. W ten właśnie sposób powstały chmury. Było ich tak wiele, że zasłoniły słońce na wiele dni. Na całej ziemi zrobiło się bardzo zimno i wiele roślin i zwierząt zginęło z mrozu. Od tej pory koty musiały zacząć nosić futra bo inaczej ten sam los, spotkałby i je. Wiele dni minęło zanim obłoki rozeszły się na boki, a przez nie przebiło się znów słońce. Król kotów bardzo długo jeszcze błakał się obserwując niebo, by na podstawie kształtu chmur odnaleźć drogę do domu. Te kształty przypominały mu miejsca, w których bywał i okolice, przez które przechodził. Tylko dzięki temu miał szansę wrócić do swojego królestwa. I w końcu do niego dotarł, ale nie był już takim samym kotem. Stracił na zawsze swoją wspaniałość, wyniosłą postawę i dumny sposób poruszania się. My za to zyskaliśmy chmury. Słońce i brzęczenie owadów działały usypiająco. Jaś zapatrzył się w niebo.





Chmury miały tyle wspaniałych kształtów. Ta z boku przypomniała łeb psa – takiego jakiego ma Kasia, z długimi uszami, które ciągnęły się po ziemi. Ta tutaj wyglądała jak sowa siedząca przy dziupli. Im więcej się im przyglądał tym więcej znajomych postaci w nich dostrzegał. Zapach kwiatów otaczał go i coraz bardziej zachęcał do drzemki. Zасыpiając ujrzał najbardziej niezwykłą chmurę ze wszystkich. Wyraźnie widział w niej króla kotów przechadzającego się po niebie, wyprostowanego, z dumnie uniesioną głową. Chłopiec przymknął oczy i odpłynął w sen. Śniło mu się, że wchodzi na najwyższe drzewo w okolicy i z jego wierzchołka przeskakuje na pobliską chmurę. Jest miękka i puchata. Potem z chmury na chmurę przeskakuje tak, by w końcu dotrzeć do słońca. Gdy już tam trafia, słońce jest takie, jak bywa zwykle późnym wieczorem – wielkie, czerwone, lekko falujące i bardzo ciepłutkie.

– Jasiu, Jasiu! Obudź się – usłyszał nagle nad głową chłopiec. – Koniec majówki, wracamy do domu – zakomunikował Wojtek.

– Ojej – przeciągnął się Jaś.

Choć Kasi i Wojtkowi wydawało się przez chwilę, że zamiast „oj”, usłyszeli: „miau”.

Katarzyna Szczepańska, Dominika Woźniak 7-11 HP





O DZIEWCZYNCIE, KTÓRA MUSIAŁA POLUBIĆ SIEBIE

W

pewnej krainie,
która leżała nie-
daleko i nieblisko,
ale tak w sam raz,
mieszkała mała
dziewczynka.
Pewnego razu szła
sobie ona dro-
gą i płakała. Łzy
wielkie jak gro-



chy spadały z jej oczu na drogę, na której od czasu do czasu powstawały gigantyczne
kałuże. Dziewczynka szła tak sobie i myślała, że w jej życiu czegoś
brakuje, bo jest jej jakoś smutno i źle. W pewnym momencie na
swojej drodze spotkała staruszkę. Starowinka poprosiła dziewczynkę
o pomoc, jednak ta przeszła obok niej obojętnie. To był błąd, chociaż
dziewczynka jeszcze o tym nie wiedziała. Cały dzień upłynął, a ona ani
razu nie pomyślała o tym, co stało się ze staruszką. Wieczorem kładąc
się spać, nie wiedziała, jak bardzo to spotkanie zmieni całe jej życie.





W nocy dziewczynce przyśniło się, że zamieniła się w szarą myszkę. Kiedy się obudziła, ucieszyła się.

– Na szczęście to tylko zły sen – odetchnęła.

Kiedy jednak wstała, poszła do łazienki i spojrzała w lustro z przerażeniem odkryła, że sen nadal trwa, a ona przestała być człowiekiem, a stała się myszą. W takiej postaci nie mogła chodzić do szkoły, musiała cały czas przebywać w domu, nie mogła robić nic, co robią małe dziewczynki. Pewnego dnia, gdy na dworze było ciepło i słonecznie myszka postanowiła jednak wyjść z domu i zobaczyć co dzieje się na zewnątrz. Podczas spaceru natknęła się na staruszkę.

– Dlaczego przemieniłam się w myszkę? Czy pani ma coś z tym wspólnego?
– zapytała.

Starsza pani pochyliła się nad gryzoniem i wzięła go w dłonie.

– Mała myszko, twoje zachowanie jest egoistyczne, nie masz przyjaciół dlatego, że sama siebie nie lubisz i nie potrafisz polubić nikogo innego – mówiła staruszka. - Nie pomogłaś mi, choć cię o to prosiłam, zostawiłaś mnie i nie odczuwałaś żadnego wstydu za swój czyn. Tak to ja rzuciłam na ciebie czar, ale tylko ty możesz go z siebie zdjąć. Czar pryśnie, jeśli zrobisz trzy dobre uczynki.

Słyszając słowa staruszki, myszka, która tak naprawdę była zaczarowaną dziewczynką, zdenerwowała się i ze złością wyskoczyła z rąk kobiety. Uciekła do domu, gdzie długo płakała i użałała się nad sobą. Nie mogła zrozumieć i pojąć, dlaczego to właśnie ją spotkał taki los, dlaczego została przez złośliwą staruchę zamieniona w myszkę. Leżąc, długo rozmyślała, co powinna w tej sytuacji zrobić. Gdy pierwsza złość minęła, dziewczynka jeszcze raz przypominała sobie słowa staruszki.
– Zachowałam się egoistycznie – przyznała w końcu. – Nie dostrzegam innych i ich potrzeb, to dlatego nie mam przyjaciół i ciągle w życiu czegoś mi brakuje.





Gdy doszła do takich wniosków, zrozumiała, co musi zrobić, by jej życie się zmieniło. Pierwszym krokiem jaki postanowiła zrobić, był kontakt z koleżanką z klasy, która leżała przeziębiona w łóżku i nie chodziła do szkoły. Mała myszka postanowiła pomóc koleżance w odrabianiu lekcji. Nie ujawniając się, bo przecież cały czas była myszką, podpowiadała jej z ukrycia do ucha rozwiązania różnych zadań, jakie nauczyciele zadawali w szkole w ramach pracy domowej. Drugi dobry uczynek myszki, dotyczył przypadkowo napotkanego starszego pana. Mała myszka spędzała z owym panem dużo czasu, uśmiechała się do niego i była dla niego bardzo życzliwa, dzięki niej starszy pan nie czuł się samotny i odzyskał radość życia. Myszcze został do spełnienia już tylko jeden uczynek. Jaki? Tego jeszcze nie wiedziała. Wtedy przypomniały jej się znowu słowa staruszki, która powiedziała: „sama siebie nie lubisz i nie potrafisz polubić nikogo innego” i myszka już wiedziała, co powinna zrobić.

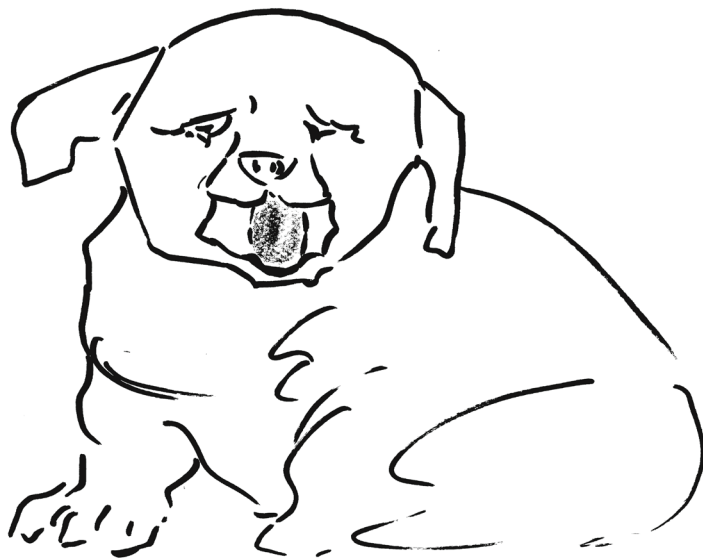
– Od dziś będę życzliwa i pomocna innym, i każdego dnia będę pracować nad tym, by coraz bardziej lubić siebie – postanowiła i w tym samym momencie rzucony nanią czar prysł. Mała szara myszka znów zamieniła się w dziewczynkę. Od czasu tego zdarzenia dziewczynka rozumiała, że nie tylko ona jest najważniejsza, ale także inni ludzie, którym należy się szacunek i zrozumienie. A żeby ustrzec się przed ponowną zamianą w myszkę, dziewczynka codziennie budziła się i zasypiała powtarzając sobie słowa zaklęcia: „lubię ludzi i siebie”, „lubię ludzi i siebie”.

Karolina Topajew 7-11 HP





SZCZENIACZEK GRYZACZEK



Dawno, dawno temu żyła sobie pewna rodzina - mama, tata i Kubuś. Pewnego dnia tata Kubusia dostał nową pracę i cała rodzina musiała przeprowadzić się do małego miasteczka Bajbusowa. Kubuś nie był szczęśliwy z przeprowadzki. Musiał zostawić wszystko to, co tak bardzo kochał w swoim starym miejscu zamieszkania. Swoich kolegów, z którymi tak świetnie się bawił na placyku koło swojego domu oraz swój pokój z milionem gwiazd na suficie i autostradą na dywanie. W nowym domu tego wszystkiego nie było. Mijały dni, i Kubuś był coraz smutniejszy i smutniejszy. Tego dnia, gdy za oknem padał deszcz, smutek Kubusia był tak wielki, że prawie nie zauważył taty, zmierzającego z pracy do domu z wielkim kolorowym pudłem w rękach. Okazało się, że pudło jest dla Kubusia, a ze środka pudła dobiegają dziwne odgłosy. Zanim chłopiec przystawił ucho do pudełka, żeby wybać, co też się w nim chowa, z konstrukcji wyskoczyła nagle mała, puchata, szczekająca kulka. - Ojej! Piesek – ucieszył się Kubuś i od razu wziął na ręce szczeniaczka, tuląc się do niego z wzajemnością zresztą. Kubuś w końcu poczuł się szczęśliwy. Miał nowego przyjaciela. Dzięki niemu deszczowe dni stały się wesołe.





Bawił się z pieszkiem, razem chodzili na długie wycieczki i zwiedzali Bajbusowo. Ich ulubionym miejscem była polana nad rzeczką, gdzie spędzali całe dnie na wspólnych psotach. Radości nie było końca. Przyjaciel Kubusia z każdym dniem stawał się coraz większy, ale i coraz częściej Kubuś znajdował swoje zabawki zupełnie pogryzione przez przyjaciela. Gdy pewnego dnia okazało się, że rozniósł w strzępy ulubionego misia Kubusia, chłopiec nakrzyczał na szczeniaczka, a on ze złości ugryzł go. Kubuś z płaczem uciekł do pokoju i postanowił unikać psa. Mijały dni, szczeniaczek czuł się bardzo samotny. Kubusiowi także było bardzo przykro, bo się od siebie oddalili, ale wciąż czuł się obrażony. W końcu pewnego dnia piesek, czując się odrzucony, postanowił uciec z domu, w którym jak sądził nikt go już nie chce i nie kocha. Jednak gdy tylko zniknął, cała rodzina Kubusia wszczęła alarm i rozpoczęła wielkie poszukiwania. Czas mijał, ale szczeniak jakby zapadł się pod ziemię. Nigdzie nie można go było znaleźć. W pewnym momencie, Kubusiowi przypomniało się, gdzie on z pieszkiem lubili spędzać razem czas i gdzie najczęściej czuli się szczęśliwi. Kubuś pobiegł nad rzekę i tam znalazł przyjaciela. Stał on wpatrzony w wodę, przemarznięty, głodny i bardzo smutny. Kubuś podbiegł do niego i mocno go przytulił.

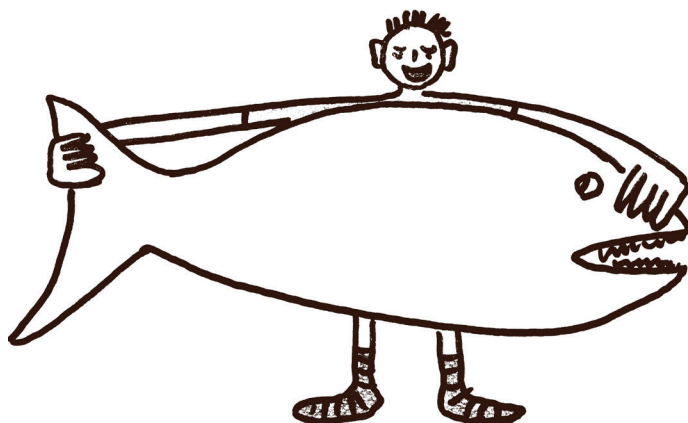
– Nigdy więcej nie uciekaj – poprosił. – Bardzo nam wszystkim cię brakowało. I wtedy właśnie Kubusiowi przyszło do głowy to, nad czym od dawna się zastanawiał i z czego nic dotychczas nie wychodziło, od teraz już wiedział jakie imię powinien nadać swojemu psu. – Bardzo Cię kocham, Gryzaczku – powiedział, a szczęśliwy Gryzaczek zaczął z całych sił merdać ogonem i lizać Kubusia po buzi. Bardzo spodobało mu się nowe imię. I mimo, iż mogłoby ono wskazywać na zamiłowanie do gryzienia, Gryzaczek już nigdy nikogo nie ugryzł. Kubuś zresztą nadając szczeniakowi imię wymyślił i odśpiewał rymowanąkę: “Jestem mały Szczeniaczek, mam na imię Gryzaczek, ale kiedy jest mi źle, gryźć nie gryzę, choć czasem chcę!”

Weronika Tetlak, Małgorzata Gomulak 7-26 HP





CO TO JEST WYOBRAŹNIA



Pewnego wieczoru, po wspólnej czytance na dobranoc, Krzyś zapytał mamę: - Mamo, co to jest wyobraźnia?

Basia, bo tak miała na imię mama Krzysia, ułożyła się wygodnie na łóżku obok swojego synka i po chwili zastanowienia się, by jak najlepiej odpowiedzieć na pytanie, przytuliła chłopca i głaszcząc po głowie, rozpoczęła: - Wyobraźnia, to wszystko to, co nas otacza. Gdyby nie ona nie byłoby nic. Dzięki niej możemy przez chwilę stać się, kim tylko zechcemy.

- Kim tylko zechcemy? - zdziwił się Krzyś.

- Tak, kim tylko zechcemy - powtórzyła z uśmiechem mama.

- A kim ja mogę być? - dopytywał Krzyś.

- Och mój mały... - westchnęła Basia. - A kim byś chciał być?

Chłopiec milczał przez chwilę.

- Chciałbym być policjantem, strażakiem, lekarzem, który leczy chore zwierzątka. O! I kierowcą wyścigówek! - wyliczał.

- I wiesz co? - przerwała mu mama. - Dzięki wyobraźni możesz być każdym z nich - powiedziała mama. - Wystarczy, że sobie o tym wszystkim pomyślisz.





- To ja idę powiedzieć o tym tacie – oznajmił chłopiec i wyskoczył z łóżka na puszysty, zielony dywan, kierując się w stronę salonu.
- Tato, tato! – wspiął się na kolana mężczyzny siedzącego na wygodnej kanapie i oglądającego mecz.
- Słucham cię mały! – tata spojrzał na szkraba z uśmiechem.
- Wiesz, że dzięki wyobraźni mogę łowić taaaaakie ryby? – pokazał tacie Krzys rozkładając szeroko ramiona.
- Takie wielkie? – zdziwił się tata Maciej.
- Tak – odpowiedział dumnie chłopiec. – To co tatuś, idziemy łowić ryby? – zaproponował.
- Co prawda jest już trochę za późno na takie łowy, ale wiesz co? Pożegnajmy się z mamą i... chodźmy. – Krzys i Maciej ucałowali Basię, po czym tato wziął syna na ręce i pomaszerował z nim do jego pokoju.
- Jeśli nadal chcesz łowić ryby, to musisz zamknąć oczy – zdradził tata.
- Zamknąć oczy? – zmarszczył śmiesznie nosek Krzys, wyczuwając w tym jakiś podstęp.
- Tak, zamknąć oczy – powtórzył spokojnie Maciej.
- Krzys ostatecznie postanowił zaufać ojcu i zrobił tak, jak ten mu radził.
- A teraz wyobraź sobie wieceelką rybę – mówił mężczyzna. – Spójrz w bok widzisz tam siebie? Widzisz jak trzymasz wędkę i jak ryba chwyta haczyk? Chłopiec uśmiechnął się szeroko, bo oczyma wyobraźni właśnie przeniósł się nad rzekę.
- A słyszysz szum wody? Jak cicho, jak spokojnie jest wokoło? – mówił tato, ale Krzys już nic nie odpowiedział, bo zasnął i był już daleko, daleko stąd.
- I to właśnie jest wyobraźnia, synku – powiedział tato, po czym mocniej przykrył Krzysia kołdrą i ucałował w czoło na dobranoc.

Paulina KŁOS 7-31 HP





NIEWIDZIALNY TOWARZYSZ

Mamo,
a kto
t o
jest anioł? – zapytała
pewnego dnia Ka-
sia swoją mamę, która
właśnie gotowała obiad
w kuchni. Zaskoczona
jej pytaniem kobieta od-
powiedziała: Wiesz có-
reczko, anioły to są takie
niewidzialne istoty. Każ-
dy człowiek ma swojego
anioła, który jest z nim
przez całe jego życie.



– Ale po co nam te anioły? Dlaczego ich nie widać? – pytała dalej Kasia. – Czy one mają jakieś imiona? I skąd się właściwie biorą?
– Nie widać ich, Kochanie, bo one nie są ludźmi – tłumaczyła mama. – Nie mają ciała takiego jak ja czy ty. Mieszkają w niebie i potrafią latać. Jest ich bardzo dużo. Kiedy rodzi się dziecko, jeden z aniołków w niebie bierze sobie je pod opiekę. Towarzyszy mu potem przez całe jego życie i pilnuje, żeby nie stała mu się krzywda. Dlatego ludzie nazywają je Aniołami Stróżami.
– Czyli ja też mam swojego Anioła Stróża? – zacięła się dziewczynka.





– Oczywiście, że masz – z przekonaniem powiedziała mama, po czym urwała temat, bo obiad był gotowy i trzeba było myć ręce i zasiadać do stołu. Jednak Kasia do końca dnia rozmyślała o swoim Aniele Stróžu. Dalej nie rozumiała do końca kim on jest. I właściwie po co jej Anioł Stróż. Jest niewidzialny, nie można się z nim pobawić lalkami ani zagrać w piłkę. Nie da się z nim porozmawiać, bo przecież nie odpowie. Nie obejrzą razem dobranocki, nie przeczyta jej bajki przed snem.

– W czym on miałby mi pomóc? – rozmyślała dziewczynka, a następnego dnia powiedziała mamie:

– Wiesz mamo, ten Anioł Stróż w ogóle nie jest mi potrzebny. Przecież ty i tata się mną opiekujecie. A pobawić się mogę z Olą i Bartkiem z przedszkola. Po co mi jeszcze jakiś anioł?

Mama zmartwiła się trochę słysząc słowa córki. Pomyślała, że Kasia jest jeszcze za mała, żeby to zrozumieć. Odpowiedziała jedynie: – Kiedyś na pewno zmienisz zdanie.

Od tej rozmowy minęło wiele dni. Kasia chodziła do przedszkola, bawiła się z dziećmi i z rodzicami, którzy bardzo ją kochali. Nie myślała już o aniołach. W kolejne już w jej życiu wakacje dziewczynka wraz z rodzicami pojechała na kilka dni do dziadka i babci na wieś. Bardzo lubiła to miejsce. Było tam tyle zwierząt: krowy, konie i kury, mnóstwo kwiatów, pies Felek i kotka Fusia. Z dziadkiem można było chodzić na jagody do lasu, a babcia robiła z nich później pyszne pierogi. Ty razem także Kasia postanowiła wybrać się z dziadkiem do lasu.

– Pilnuj się dziadka, nie odchodź nigdzie od niego, bo w lesie łatwo się zgubić – przestrzegła córkę przed wyprawą mama.

– Dobrze, dobrze mamo – odpowiedziała dziewczynka i w podskokach ruszyła za dziadkiem.





Las był ogromny, rosło w nim mnóstwo drzew, między, którymi trudno było przejść.

– Idź po drodze i nie wchodź w głąb lasu – upominał wnuczkę dziadek, ale Kasia była tak zaciekawiona tym, co w lesie widziała, że co chwila zbaczała z drogi. W pewnym momencie, gdy podniosła głowę znad niebieskich kwiatków okazało się, że jest sama i nigdzie nie może dostrzec dziadka. Co więcej nie widziała też drogi. Dookoła były tylko drzewa. Kasia bardzo się przestraszyła.

– Dziadku, dziadku! – wołała, ale nikt nie odpowiadał. Dziewczynka usiadła pod drzewem i rozplakała się. – Gdyby tylko ktoś był przy mnie i mi pomógł – szlochała i nie wiadomo czemu, właśnie wtedy przypomniła sobie rozmowę z mamą o Aniołach. – Jeśli jest przy mnie mój Anioł Stróż, to znaczy, że nie jestem sama. – Ta myśl dodała jej odwagi. Z zapłakaną buzią wstała i poprosiła Anioła Stróża, by pomógł jej odnaleźć drogę do domu. Ruszyła w kierunku, w którym las nie był tak bardzo gęsty. Nagle dostrzegła ruszającą się postać.

– Dziadku! – krzyknęła i pobiegła w jego stronę. Przytuliła się do niego mocno.

– Tak się martwiłem – wyszeptał wzruszony dziadek. – Chodź, wracajmy.

Kiedy dotarli do domu, dziadek opowiedział rodzicom dziewczynki o tym, co wydarzyło się w lesie. Zaniepokojona mama przytuliła córeczkę i powiedziała:

– Biedactwo, pewnie bardzo się bałaś?

– Na początku tak – odpowiedziała Kasia. – Ale przecież nie byłam tam sama.

– Jak to? – zdziwił się tato. – A kto tam jeszcze z tobą był?

– Jak to kto? Mój Anioł Stróż – odpowiedziała dziewczynka i uśmiechnęła się do mamy, która zrozumiała, że właśnie jej córka „zmieniła zdanie”.

Aleksandra Poreda 7 – 35 HP





MAŁA KROPELKA

W małym stawie wśród

zieleni żyła sobie Mała Kropelka. Wiodła tam spokojne życie, które polegało na zabawie z żabkami, skakaniu po wodnych kwiatkach i ganiu się w berka z innymi kropelkami. Najbardziej lubiła, gdy padał deszcz. Wtedy do stawu wskakiwały nowe kropelki, które spadały z nieba.

Kropelka uwielbiała ich opowieści o chmurach i o tym, co widziały hen, hen wysoko w górze. Te krople były takie mądre, tyle wiedziały o świecie. A ona mieszkała zawsze w stawie i nic poza nim nie знаła. Jej największym marzeniem stało się więc to, by zwiedzić świat. Ale jeszcze bardziej pragnęła, by dokonać czegoś wielkiego. Inne kropelki ze stawu podśmiewały się z niej trochę. – Co ty, Kropelko, możesz wielkiego dokonać? Jesteś tylko jedną Małą Kropelką – mówiły. Mała Kropelka smuciła się na te słowa, ale nie rezygnowała z marzeń. Mimo wszystko postanowiła spróbować je spełnić.





– Cóż, najwyżej się nie uda – stwierdziła, po czym zdecydowała wybrać się w podróż. Kiedy przyszedł deszczowy dzień nie mogła przestać skakać z radości. – To już dziś - cieszyła się. Inne kropelki patrzyły na nią z niedowierzaniem, ale w głębi serca zazdrościły jej trochę odwagi. Tego dnia deszcz był bardzo obfity. Woda w stawie przybrała, a wokół niego powstały kałuże. Mała Kropelka postanowiła dotrzeć do pobliskiej rzeki. Słyszała opowieści, że rzeka ta łączy się z morzem, w którym jest 1000 razy więcej wody niż w jej stawie. Przeskakując po kałużach i listkach kwiatów Mała Kropelka, krok po kroku zbliżała się do celu, aż w końcu udało jej się wskoczyć do rzeki. Rzeka była o wiele większa niż jej się wydawało. Było tam wiele innych kropel. Mała Kropelka z wieloma z nich zaprzyjaźniła się. Opowiadała im o swoim marzeniu, by zrobić coś wielkiego. Jednak one nie potrafiły jej pomóc. – Tutaj nie ma nic takiego. Nasze życie jest spokojne. Zakłócają je jedynie ludzie, którzy wrzucają śmieci do naszej rzeki. Ale ty jesteś za mała, żeby coś z tym zrobić. Popłyn do morza. Tam są krople, które tworzą wielkie fale. Może one ci pomogą – doradzały.

Prąd w rzece był bardzo silny. Mała Kropelka wiedziała, że to właśnie on zaprowadzi ją do morza. Jej podróż była długa, ale i tym razem się poszczęściło. Morze było ogromne i fascynujące. Ryby, które tam pływały były zupełnie inne niż w stawie. Roślin było mniej, za to morze wydawało się nie mieć końca. Krople mieszkające w morzu od razu zauważyły nowego przybysza. – Chyba jesteś u nas pierwszy raz? Witaj! Witaj! - mówiły. – Co cię do nas sprowadza? – Przepełnęłam długą drogę, by spełnić swoje marzenia. Bardzo bym chciała zrobić coś wielkiego. Wy tworzycie wielkie i piękne fale. Może mogłybyście mi pomóc? – prosiła Mała Kropelka.

– Bardzo chętnie, ale tu, żeby zrobić coś wielkiego potrzeba nas bardzo wiele. Żeby stworzyć fale potrzebne nas są miliony. Sama jedna niewiele możesz zrobić. Mała Kropelka bardzo się zmartwiła. Widząc to jedna z morskich ko-





leżanek podpłynęła do niej i szepnęła:

– Jeśli chcesz spełnić swoje marzenie, wróć do rzeki. Z rzeki ludzie biorą wodę do picia. Spróbuj dostać się do nich, może tam się uda.

Mała Kropelka tak postanowiła zrobić. Czeką ją bardzo trudne zadanie, bo trzeba było płynąć pod prąd rzeki, która wpadała do morza. Kropelka musiała być bardzo wytrwała. Jednak wierzyła, że to pomoże jej spełnić marzenie. Po wielu trudach Mała Kropelka dotarła do rzeki i zatrzymała się w zatoczce, by odpocząć. Nagle usłyszała głos kąpiących się ludzi. Chlapali się wodą i pływali wzbudzając fale.

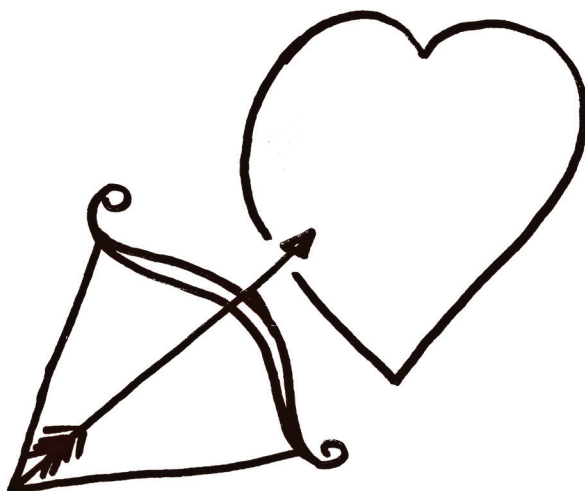
Mała Kropelka nie miała już siły i niesiona falą została połknięta przez kąpiącą się w rzece dziewczynę. Pływała w jej ciele nie wiedząc jak się wydostać. Momentami nawet myślała, że nigdy się to nie uda. Nagle, zaskoczona dojrzała światło. Podpłynęła w jego kierunku i spłynęła samotnie i powoli po policzku dziewczyny. Usłyszała tylko jej słowa: „Kocham Cię” i poczuła ciepło męskiego policzka. Mała Kropelka stała się łzą wzruszenia, która znaczy dużo więcej niż słowo czy nawet tysiąc słów. Teraz już wiedziała, że jej marzenie się spełniło.

Aleksandra Poreda 7 – 35 HP





KRÓTKA HISTORIA O MIŁOŚCI



Za górami, za lasami, w małym domku pod brzoźami żyła sobie pewna Pani. Włosy miała kruczo czarne, lśniące oczy, stroje barwne. Była piękna, lecz samotna, tak samotna, że aż smutno, szaro, buro i żal. Wielu o nią się starało. W mieście ciągle o tym wrzało, bo rozważna i roztropna odprawiała kawalerów: tych co mieli rząd orderów na mundurach wyszywanych, tych co sakwę mieli pełną, ale w sercu pusto, ciemno, odsyłała wszystkich precz. Dla niej to co widać okiem nie znaczyło nazbyt wiele. Wciąż marzyła o mężczyźnie, który serce jej zdobędzie uczciwością, pracą, prawdą, a nie jakimś tam orderem. Tak czekała Piękna Pani lata długie i samotne, wciąż z nadzieją, że się zjawi ten, co w głąb jej duszy dotrze. I wierzyła w to głęboko, że ją miłość spotka wreszcie. Nie szukała jej na siłę, wiedząc, że to nie czas jeszcze. Aż pewnego dnia, o wschodzie, ktoś cichutko w okno stuka. Kto to? Co to? Czy to złodziej czy to może jakieś duchy? Piękna Pani otworzyła i swym oczom nie wierzyła. Mały Amor wleciał śmiało do pokoju gospodyni i te słowa do niej mówi, rozciągając się na skrzyni:





– Moja droga, twoja cierpliwość, dobroć serca i uczciwość wnet zostanie nagrodzona, choć nie dzisiaj wyjaśniona. Wkrótce do twoich drzwi zapuka człowiek mądry i szlachetny. Nie bądź wtedy zaskoczona, przyjmij go choć będzie biedny. Na tym skończył, stuknął, fuknął, i pofrunął mały Amor, zostawiając Piękną Panią zadziwioną i niepewną, czy to był sen, jawa, zając, czy też Amor był na pewno? Lecz się stało jak powiedział. Dnia pewnego w jej ogrodzie pewien Pan na ławce siedział. Kiedy ujrzał Piękną Panią dech zaparło mu z wrażenia. Zawstydzony, zaskoczony, jej urodą, aż oniemiał.

– Witaj Panie, kimże jesteś? Skąd przybywasz w moje progi? Pan pokłonił się wnet nisko, aż jej prawie wpadł na nogi.

– Wybacz droga gospodyni, że wtargnąłem tak niegrzecznie, lecz mnie nogi tak już bołą, że odpocząć chcę koniecznie. Długą drogę już przeszedłem i za pracą tak się tułam. Lecz jej znaleźć wciąż nie mogę, tylko śmiech u innych wzbudzam. Piękna Pani zaprosiła swego gościa na posiłek, a w pokoju na poddaszu zapewniła odpoczynek. Pan z radości chciał koniecznie dać jej wyraz swej wdzięczności. Więc do pracy w mig się zabrał i naprawił kran ciekący, stół pęknięty, piec palący. Pracowitość jego wielka tak ujęła Piękną Panią, że go poznać chciała bliżej, a on chętnie przystał na to. I tak czas spędzali wspólnie na rozmowach przy kominku, na spacerach po ogrodzie i po pracy odpoczynku. Miłość szybko połączyła Piękną Panią z biednym Panem. Odtąd w smutku i radości, po kres życia byli razem.

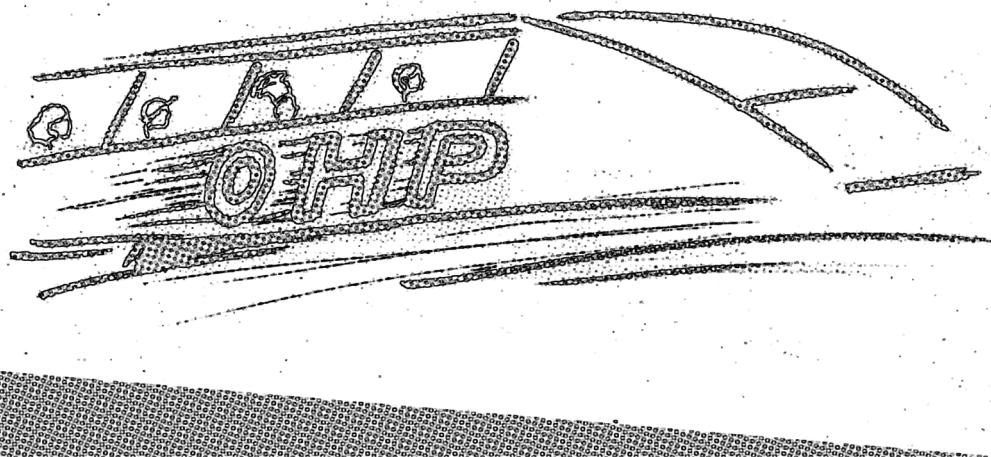
Morał z bajki tej jest taki: Nie jest ważne jak wyglądasz, co posiadasz i skąd jesteś. Wartość twoją to wyznacza co masz w sercu, jaki jesteś. Miłość wtedy cię odnajdzie, choćbyś na nią długo czekał, bądź cierpliwy i wytrwały, nawet jeśli trochę zwleka.

Aleksandra Poreda 7 – 35 HP





ROZPOCZNIJ Z NAMI
SWOJĄ PRZYGODĘ ZAWODOWĄ





Tytuł: *Bajki. Młodzież OHP dzieciom.*

Rysunki: Robert Dębicki

Opieka artystyczna: Andrzej Syska - Szafrński

Opracowanie graficzne, redakcja i skład: Izabela Marczak

Nakład: 140 egzemplarzy

Drukarnia: Drukarnia24h.net

Wydanie: I

Warszawa 2014





KONIEC
KONIEC

